



ODGŁOSY

► NIGDY WIĘCEJ — Marek Adam Jaworski ► LUBELSKIE WSPOMNIENIA — Wiesław Jażdżyński ► NIE TYLKO CONSTANCA — Krystyna Kaszyńska
 ► PODWÓJNE ŻYCIE RYSZARDA S. — Władysław Orłowski ► ROK KRWAWYCH RZĄDÓW JUNTY — Jerzy Czech ► WYMOWA OBRAZÓW — Ewa Nurczyńska ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► LISTY ► POLEMIKI



KONRAD TUROWSKI

PRAWO DO WŁASNEGO ŻYCIORYSU

„Być może, Jerzy Janicki przedstawił w swym scenariuszu telewizyjnym zdarzenie prawdziwe, choć kto wie? Może dzieje głównego bohatera są kompilacją przeżyć, doświadczeń, przeżyć kilku ludzi? Nie to jest jednak ważne — wiadomo bowiem, że w tym czasie (ręcz działa się w okupacyjnej Warszawie) w dniach grozy i niesamowitości, wszystko było możliwe — „wszystko” co dziś możemy pomieścić w kategorii „sensacyjnych” przeżyć, a co było związane z ludzkim bohaterstwem i ludzką wytrzymałością.

Scenariusz widowiska „Umarłem, aby żyć” ma więc walory autentyczności, co więcej, zbudowany jest z dbałością o realia (dziś już historyczne), stopniuje napięcie, potrafi także wzbudzić uczucie podziwu dla tych, którzy są jego bohaterami biorąc udział w owej śmiałej akcji polskiego podziemia.

Przedstawienie Teatru Sensacji było zwarte, logiczne, a co ważne zagrane rzeczywiście znakomicie... Okazuje się, że można robić dobre Teatry Sensacji — tylko... trzeba znać prawdziwa tego gatunku sztuki!...

Tak pisał 23 maja 1970 roku pewien recenzent na łamach poważne-

go i cenionego dziennika warszawskiego. Nie przewidział, że życie dopisze dalszy ciąg jego recenzji i widowiska telewizyjnego...

Dalszy ciąg na str. 5

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ZDOBYĆ PIRENEJE

(Korespondencja własna z Francji)

Siedemnastego lipca przetoczyły się przez Arrens dwa wielkie wyścigi. Najpierw był Tour de L'Avenir ze swoją amatorską oprawą, później potężny Tour de France.

Tour de L'Avenir przyprowadzili do miasteczka Polacy. — Kolego, Ojczyzna na ciebie patrzy! — krzychałem do Mytnika. Chciałem wciśnąć mu do ręki rozłupaną pomarańczę, ale żandarm zagroził mi drogę (względy bezpieczeństwa), więc cofnąłem się na chodnik i trawiony wyrzutami sumienia sam pożarłem pomarańczę, patrząc ze ściśniętym sercem na zmaltretowanych, pnących się pod górę Polaków.

Zgromadzony wzdłuż szosy tłum dzieci, starców i młodzieży, a także kotów, psów i trzymających wszystko w ryzach żandarmów nie traktował Tour de L'Avenir zbyt poważnie. Ot, mdława uwertura do opery Tour de France, w której występował przecież legendarny Merckx i walczące z nim o sekundy bożyszcze narodowe, Ray Poulidor. Na nich właśnie czekali francuscy kibice. Było to czekanie długie ale bynajmniej nie nudne...

Już na dwie i pół godziny przed przyjazdem do Arrens pierwszego kolarza zaczęły pojawiać się na drodze samochody z tak zwanej karawany

wyścigu i niebawem rozpełtała się prawdziwa reklamowa szopka — zjawisko na polskich trasach nieznane, szokujące, mające ze sportem tyle wspólnego co ja z prezydentem Ugandy. Jednym słowem, poza emblematami Tour de France i powiewającym tu i ówdzie z głupia frant nazwiskiem Eddy Merckx'a, wystrój karawany przypominał wielkie, międzynarodowe, obejmujące wszelkie dziedziny życia, targi. Oto wozy sławiące pastę do zębów, maść na porost włosów, po-

Dalszy ciąg na str. 6

KRZYSZTOF POGORZELEC

SAMI WŚRÓD OBCYCH

(Korespondencja własna z RFN)

Kelnerka roznosząca kawę i częstującą nas zimnymi napitkami w kawiarni firmy „Bayersdorf” w Hamburgu miała nie tylko kruczoczarne włosy, ale — przyjęto tutaj powszechnie ten amerykański obyczaj przyczepiania do fartucha roboczego lub marynarki specjalnych tabliczek „wizytówek” —

dosyć egzotycznie brzmiące nazwisko: Simoes. Od szefa produkcji tych zakładów, które podobno według oryginalnej receptury, ale w ścisłej współpracy z największymi koncernami chemicznymi w RFN produkują liczne odmiany kosmetyków i... krem „Nivea”, dowiedziałem się, że pani Simoes jest Portugalką i w zakładach „Bayersdorf” pracuje od sześciu miesięcy. Przechodząc przez pachnące kosmetykami hale tej fabryki (... Panowie, przepraszamy, ale nie wolno fotografować) — oznajmił nam grzecznie a w zdecydowanej formie jeden z dyrektorów...)

zwróciłem uwagę na imienne listy zespołów pracujących na tej zmianie. Na dziesięć nazwisk — sześć, siedem o zgola nie niemieckim brzmieniu. Wyglądały mi na hiszpańskie, włoskie, jugosłowiańskie, portugalskie, tureckie.

— Tak, zgadza się — potwierdził szef recepcji firmy „Bayersdorf” — to są „gastarbeiterzy”, stanowią spory odsetek naszej załogi...

W taki to sposób zetknąłem się z problemem, który coraz więcej miejsca zajmuje na łamach nie tylko brukowej i sensacyjnej prasy w rodzaju „Bild Zeitung”, ale także najpoważniejszych pism zachodniemieckich,

że wymienię dla przykładu „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. „Die Welt” czy „Handelsblatt”, a bywa, że jest on wykorzystywany przez pewne ugrupowania w walce politycznej.

Gastarbeiter. Tłumaczy się to: robotnik — gość. Niektórzy używają jednak wobec tych ludzi innego określenia, które swój rodowód wywodzi jeszcze z czasów III, rzekomo tysiącletniej Rzeszy: Fremdarbeiter, czyli obcy robotnik.

Pamiętacie? Żółty romb z fioletową literą „P” w środku — P, jak Polak...

* * *

Jest ich tutaj dużo. Według oficjalnych danych w roku 1973 w Republice Federalnej Niemiec znajdowało się około 1,8 mln cudzoziemskich robotników.

Senator Helmuth Kern — „W samym Hamburgu jest obecnie zatrudnionych w różnych przedsiębiorstwach ponad 60 tys. robotników obcokrajowców. Już w tej chwili jest to poważny problem społeczny...”

Miałem możliwość, choć przelotnie, o tym się przekonać.

W ogłuszającym huku pracującej prasy, która wyrzuca z siebie setki i tysiące pudełek na krem „Nivea”, śniade dłonie podsuwają jak automat kolejne pasma blachy. W wykopach pod nowy odcinek hamburskiego

Dalszy ciąg na str. 7

JUBILEUSZ 30 – LECIA ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Przed trzydziestu laty, 31 sierpnia 1944 r., na ostatniej stronie wydawanego w wyzwolonym Lublinie dziennika „Rzeczpospolita” ukazało się ogłoszenie: „I września o godz. 12.00 w lokalu przy ul. Radziwiłłowskiej 9 w Lublinie odbędzie się pierwsze po pięciu latach walne zebranie Związku Zawodowego Literatów Polskich”. Związek polskich pisarzy rozpoczął znowu przerwana przez wojnę działalność i pracę nad odbudową życia literackiego kraju.

W pierwszych miesiącach wolności Lublin stał się kulturalnym centrum ośwojonej części Polski. Miasto skupiło ocalałych z wojennej pożogi twórców. Działała polska radiostacja i teatr, wychodziła polska prasa. Ukazał się pierwszy numer tygodnika „Odrodzenie”, pierwszego czasopisma literackiego — Polski Ludowej. W przygotowaniu są pierwsze książki — zbiory wierszy Juliana Przybosi, Mieczysława Jastruna, Adama Ważyka i Jerzego Putramenta. Te daty, wydarzenia i publikacje wyznaczają początek powojennego życia literackiego, jakkolwiek wojna trwała i przyniosła jeszcze miała niejedną bolesną stratę dla polskiej literatury.

Z zachowanych relacji można odtworzyć przebieg pierwszego w wolnej Polsce zebrania literatów. Brali w nim udział wszyscy, którym udało się dotrzeć do Lublina. Gośćmi spotkania byli m. in. kierownik resortu kultury i sztuki PKWN — Wincenty Ryłkowski oraz przedstawiciel ambasady radzieckiej — prof. Grigorjew.

Zebranie rozpoczęła minuta ciszy. Ci, którzy przeżyli, uczcili pamięć kolegów, którzy zostali pomordowani przez hitlerowców, zginęli podczas działań wojennych i zmarli w czasie wojny.

Losom polskiej literatury i polskich pisarzy w okresie wojny poświęcono kilka wydarzeń, m. in. o podziemnym życiu literackim Warszawy mówił Mieczysław Jastrun.

Karol Kuryluk przedstawił ruch literacki we Lwowie w latach 1939—1941. Lwów literacki oraz dzieje pisarzy, którzy wyemigrowali do Związku Radzieckiego, były też tematem wystąpienia Adama Ważyka. Działalność literatów w odrodzonym, Ludowym Wojsku Polskim scharakteryzował Leon Pasternak. O poczynaniach literatów partyzantów polskich opowiadał Stanisław Jerzy Lec.

Na zakończenie zebrania, jak czytamy w relacji zamieszczonej w tygodniku „Odrodzenie” — w jawnym głosowaniu zebrani wybrali tymczasowy zarząd związku, w skład którego weszli pisarze: M. Jastrun, K. J. Jaworski, J. Pleśnarowicz, J. Przybós, J. Putrament, J. Wassowski, A. Ważyk.

Pierwsze posiedzenie zarządu, na którym dokonano wyboru tymczasowych władz, odbyło się w Lublinie 3 września 1944 r. Prezesem został J. Przybós, sekretarzem A. Ważyk, skarbnikiem — M. Jastrun. „Nowo wybrany zarząd — czytamy w „Odrodzeniu” — dokonywał przybyłych do Lublina literatów: Boguszevska i Kornackiego. Zarząd tymczasowy opracował wytyczne organizacji i działalności związku. W myśl tych wytycznych ZZLP jest jedną organizacją zawodową w kraju zrzeszającą poetów, powieściopisarzy i nowelistów, eselistów i krytyków literackich oraz tłumaczy literatury pięknej”. ZZLP rozpoczął nowy etap działalności.

MIRZO TURSUN — ZADE

40-LECIE I ZJAZDU PISARZY ZSRR 1934-1974

ŚLADEM GORKIEGO

„Związek Literatów stworzony został nie po to, aby formalnie i czysto zewnętrznie jednoczyć artystów słowa, ale, by stowarzyszenie zawodowe pozwoliło im zrozumieć się kolektywnie, jaki tworzą, określić z większą dokładnością i jasnością różnorodne kierunki ich działania i zjednoczyć wszystkie cele, w harmonijnej całości, do której zmierza wysiłek całego kraju” — mówił A. M. Gorki otwierając Pierwszy Wszczęty Zjazd Pisarzy.

Słowa te okazały się proroczymi. Wielojęzyczna literatura narodów ZSRR swojej kolektywnej sile zawdzięcza poważne osiągnięcia w minionym czterdziestoletnim. Dobrowolne zrzeczenie twórcze pisarzy radzieckich wytrzymało próbę życia. Trudno sobie zresztą wyobrazić, aby miało być inaczej, gdyż u podstaw jego tkwią silne, historyczne korzenie — Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa. Jak nie znająca przeszłości powódź wyniosła ona dziesiątki narodowych literatur na nieograniczone przestworza twórczości, otwierając przed artystami słowa niezliczone drogi i możliwości. Październik wzbogacił każdą z tych literatur jakością nową treścią i ten fakt uwarunkował ich dalszy rozwój.

„Reguła w życiu kulturalnym stały się: rozkwit, zoliżenie i wzajemne wzbogacanie kultur socjalistycznych narodów i społeczeństw” — stwierdzono w postanowieniach KC KPZR „O przygotowaniach do 50 rocznicy utworzenia Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”. Właśnie te cechy naszej rzeczywistości uwarunkowały burzliwy rozwój niegdyś zacofanych narodów, ich niebawem przejście od feudalizmu do socjalizmu, w serce XX wieku, do wyżyn kultury socjalistycznej. Utwory Cz. Ajmatowa, R. Gamzatowa, M. Karima, D. Kugultinowa, J. Rytchu i wielu, wielu innych Kazachów, Kirgizów, Czukczów, czy Baszkirów — to istotnie szczytowe osiągnię-

cia licznych literatur. Należałoby więc zastanowić się nad istotą tego zjawiska. Przecież w tym niedługim dla kultury narodów okresie powstały całe literatury. Czerpiąc soki z ludowej tradycji rodzimego folkloru i ideowo-artystyczne doświadczenia literatur obcojęzycznych — a zwłaszcza przysilując się dokonaniemi literatury rosyjskiej — mogą się dziś pisać istotnie dorównującymi dziełami, które na stałe wpisały się do historii światowej kultury.

Dzięki przekładom na rosyjski i inne języki radzieckie ogólnie dostępne stały się w Związku Radzieckim skarby, jakie kryje w sobie duchowe życie wszystkich narodów, a zwłaszcza ich literatury. Co więcej, trudno byłoby dziś wskazać kogoś z czołowych twórców nie mającego w swoim dorobku artystycznych przekładów.

Zaledwie kilkadziesiąt lat intensywnego zaznajamiania czytelnika radzieckiego z klasyczną spuścizną kultury tańszej, z nieśmiertelnymi utworami Firdousi i Saadi, Rudaki i Chafiza, Chajjama, Dżami i Rumi... A przecież już dziś to, co dawniej wydawało się egzotyką — stało się, dzięki przekładom na język rosyjski, skarbem całego ludu radzieckiego.

Pamiętam, jakim objawieniem było w swoim czasie dla moich rodaków pojawienie się takich radzieckich przekładów wierszy Włodzimierza Majakowskiego. Tłumaczem ich był Pajraw Sulajmon — poeta, który w twórczy sposób przyswajał nam dzieła wielkiego plewy rewolucyjnej, poszerzając w ten sposób horyzonty oczyszczonej poezji.

Głęboko wruszająca jest wypowiedź litewskiego poety, J. Marcinkiewicz, który wyznaje, że najbardziej pościągają go twórczość Błoka, Majakowskiego i Jesienina. „Ostatni z nich dosłownie „żył mi nie dawał”, i nie znalazłem spokoju, dopóki nie przetłumaczyłem jego dzieł na język litewski. A kiedy ukończyłem tę pracę poczułem, jak bardzo wzbogacił mnie wewnętrznie, jak zbliżył mnie

do wielu stron egzystencji ludzkiej, a w szczególności do duszy narodu rosyjskiego”.

Właśnie to nieustanne, pogłębiające się zainteresowanie innymi, bratnimi narodami jest jednym z najwyraźniejszych zjawisk w naszej literaturze. Świadczy o tym twórczość dziesiątków najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, którzy związali się najsilniejszymi więzami przyjaźni z innymi republikami. Weźmy dla przykładu „geografię” poezji Mikołaja Tichonowa. Znajdziemy tu i Kaukaz i środkową Azję, Ukrainę i republikę nadbałtyckie, a na dodatek niemal cały Daleki Wschód.

Wszyscy żyjemy niejako wspólnie, razem budujemy i chronimy nasz dom, wielką wielonarodowościową Ojczyznę. Dlatego też, na przykład, pisarze ukraińscy odzwierciedlają w swojej twórczości postaci nie tylko swoich krajanów czy Gruzinów, a znane pieśni śpiewane z równym zapalem w całym kraju! Władom, jaką rolę odegrali przedstawiciele rosyjskiego proletariatu w ruchach wywoleńskich uścisłanych niegdyś narodów Wschodu. Portrety tych ludzi odwzorowane z wielką miłością i piętyżmem znajdujemy w licznych utworach literatów Azji środkowej i Zakaukasia.

Z uczuciem głębokiej wdzięczności mówimy dziś o roli języka rosyjskiego, wielkiej literaturze rosyjskiej, klasycznej i współczesnej, w losach wszystkich narodów i narodowości Związku Radzieckiego. Nie sposób przecenić, na przykład, wpływu na naszą wielojęzyczną prozę utworów M. Gorkiego, W. Majakowskiego, M. Szolochowa, L. Leonowa, K. Fiedina i wielu innych mistrzów literatury rosyjskiej. Znaczący wpływ na rozwój naszej twórczości literackiej wywarły również książki Ukraińców: O. Gonczara i M. Stelmacha, powieści najwybitniejszych prozaików z nadbałtyckich republik — Lotysa: A. Upiła i W. Laciša, Estończyka R. Sirge, monumentalna epopeja Kazacha M. Auezowa, dzieła Uz-

beków: Kachachara i Ajbeka, mieszkanka słonecznej Turkmenii — B. Karbabajewa, Białorusina — I. Meleża, Kirgiza — Cz. Ajmatowa czy utwory traktujące o wspólniej historii Gruzji i Armenii.

Nieskończenie bogate doświadczenia naszej wielonarodowej i różnorodnej literatury stanowią dla każdego z nas życiodajne źródło i wielką, cenną szkołę.

Literatura radziecka budzi w czytelnikach świadomość wspólnoty ludzkiej, przekonanie o jedności w walce o świetlane ideały komunizmu. „Wszystko, co zasługuje na szacunek i podziw, a co zostało stworzone przez radzieckich pisarzy, artystów, kompozytorów, twórców teatralnych i filmowych — wszystko to żyje i żyć będzie w narodzie służąc triumfowi naszych wspaniałych ideałów” — powiedział towarzyszy L. I. Breżniew. I jest rzeczą charakterystyczną, że poza granicami ZSRR, o naszej literaturze mówi się z zazdrością, jako o jedynej, której istota leży przede wszystkim w jej patriotycznym i aktywnym humanizmie. Jej dzieła niosą w świat słowa prawdy o życiu społeczeństwa socjalistycznego, o twórcach tego nowego, swobodnego i szczęśliwego życia.

Nigdy nie wolno nam zapominać o najistotniejszym: drzewo jest tym mocniejsze, im głębiej jego korzenie wstają w ziemię. Kontynuując i rozwijając tradycje Gorkiego, dzień za dniem umacniamy nasze braterstwo, które wytrzymało próbę życia, które przetrwało i dopomogło przetrwać ludziom niejedną zawieruchę dziejów. I im silniejsza i głębsza są wzajemne powiązania naszych literatur, tym bardziej niewzruszone są ich związki z narodami, tym bardziej umacniają się i pięknieją źródła twórczości, tym czystsze i bardziej ożywcze są jej droje.

„Literaturnaja Gazeta”

Przełożył B. P.

oko na gospodarke

POŻYCZ - WYKORZYSTAJ

Nie ma co mówić — nasze społeczeństwo bardzo uważnie obserwuje wszystkie zjawiska gospodarcze i to nie te, które zachodzą w naszym kraju, ale i poza jego granicami, w świecie. Stąd chyba i pytania stawiane w listach, pytania rozmaite, choćby dotyczące funkcjonowania różnych organizacji gospodarczych, takich jak RWPG, Europejska Wspólnota Gospodarcza i naszych z nią stosunków, problemów kryzysu surowcowego, energetycznego, załamania się finansowego układu świata kapitalistycznego i wielu, bardzo wielu innych spraw.

Ostatnio z paczki listów wyjąłem jeden, którego autor podjął interesujący, chyba nie tylko moim zdaniem, problem: kredytów zagranicznych. „Bo to od czasu do czasu czyta się o nich, ale właściwie tylko w krótkich komunikatach. A przecież wiadomo, że każda pożyczka, na rozmiar, nie zawsze dobre strony” — napisał nasz czytelnik w konkluzji.

I ma rację — to po pierwsze. No, ale po drugie — chyba — nikomu nie trzeba dokumentalnie tłumaczyć... na czym polega kredyt. Któż z nas nie był, nie jest bądź nie będzie dłużnikiem, nie zaciągał pożyczki w niedwysiężnym ORS, którego rolę pełni dziś z powodzeniem PKO, nie śledził w nagłym, względnie zaplanowanym przypadku do finansowej pomocy kas pożyczkowych, działających przy zakładach i przedsiębiorstwach. Powiedzmy wprost — taki zastrzyk środków finansowych, które rozprowadzić trzeba zwrócić, nie dopiero po pewnym czasie, rozwiązuje wiele problemów, przecie nie tylko obywateli naszego kraju; jest to po prostu forma finansowego, gospodarczego działania i to niezwykle rozpowszechniona. Ten „modelowy”

schemat kredytu, pożyczki można także odnieść do stosunków między państwowymi, względnie wielkimi organizacjami ekonomicznymi.

Oczywiście ranga kredytów, o które nam tutaj chodzi jest zupełnie inna i należy w tym miejscu stwierdzić, że zwiększa się ona w miarę rozwoju powiązań gospodarczych, międzynarodowych w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Z taką sytuacją mamy właśnie do czynienia w naszym kraju, w jego stosunkach z bardzo licznymi zagranicznymi partnerami w wymianie międzynarodowej. Jako przykład podajemy, że wyroby polskiego przemysłu lekkiego są eksportowane do 60 państw całego świata.

Każdy organizm gospodarczy, nawet najbardziej rozbudowany, wyposażony we własne źródła np. surowcowe, nie może się jednak opierać wyłącznie na stosunkach handlowych, ale w całokształcie procesów rozwojowych powinien — zaryzykujemy, że nawet musi — sięgać po inne mechanizmy dynamizujące jego ekonomikę. W tym również po taki środek, jakim jest kredyt. Naturalnie instrument ten jest bardzo czuły, nie może być przede wszystkim stosowany jednostronnie poprzez zaciąganie pożyczek. Mówiąc wprost: właściciu polityka w tej dziedzinie to zarówno zaciąganie kredytu, jak i udzielanie pożyczek. Może to się wydać paradoksalne, ale właśnie tylko tak może ów finansowy mechanizm działać prawidłowo, prowadząc do rozszerzenia powiązań ekonomicznych choćby w postaci trudno do tej pory dostępnych rynków zbytu, otwierania ich dla naszego kraju, zdobycia technologii, rozwiązań technicznych czy produkcyjnych.

Odniesmy jednak te ogólne stwierdzenia do naszych krajowych, aktualnych warunków. Podkreślam — aktualnych, bowiem jeśli chodzi o elastyczne wykorzystanie mechanizmu kredytu zagranicznego dla zdynamizowania krajowej dynamiki, osłaniania postawionych celów społecznych poprzez wydawnictwa gospodarkę, to właśnie wszystko zaczęło się dopiero po roku 1970. Osiągnięte już rezultaty w zdynamizowaniu krajowej ekonomiki zawiązujemy oczywiście w pierwszym rzędzie właściwemu wykorzystaniu zasobów i możliwości tkwiących wewnątrz naszego państwa, społeczeństwa i to jest niewątpliwą podstawą do osiągnięcia tego sukcesu, z którego coraz lepiej zdajemy sobie sprawę. Ale równocześnie nie należy bagatelizować takiego dodatkowego czynnika, jakim w praktyce podsycając rozwój jest mechanizm kredytu zagranicznego.

Spróbujmy sobie odpowiedzieć bardziej szczegółowo na pytanie: jakie szanse, dodatkowe możliwości otwiera właściwie praktykowanie polityki kredytowej?

Otoż, można chyba tak to ująć: dynamizująca funkcja kredytu to przede wszystkim szansa szybkiego importu maszyn, urządzeń, technologii, umiejętności, metod organizacji produkcji, których nie można szybko, albo i wcale uzyskać na rynku wewnętrznym. Nie od rzeczy też będzie tutaj zauważyć, iż powiązania kredytowe, właśnie tego rodzaju zakupy stwarzają możliwość zwiększenia eksportu własnych wyrobów na rynki krajów udzielających pożyczki jak i w ogóle inten-

syfikują handel zagraniczny choćby przez zwiększenie wolumenu towarów o najwyższych parametrach technicznych, użytkowych i jakościowych, rozszerzenie asortymentów wyrobów rodzimej produkcji.

Nie można też zapominać o roli — i to niezwykle istotnej — jaką tego rodzaju proces odgrywa wobec rynku wewnętrznego, poprzez dostarczenie wyrobów poszukiwanych, potrzebnych dla zaspokojenia wrażliwych wymagań społecznych, w dziedzinie konsumpcji. Ta strona skutków działania mechanizmu kredytowego ma jeszcze inny wyraz: możliwość zaspokojenia lub wywołania przez lepszy wybór nowych potrzeb społecznych, staje się ważnym bodźcem dla uzyskania wyższych rezultatów pracy, a tym samym — płacy.

Wszystko to wygląda dosyć prosto, ale przecież stosowanie mechanizmu kredytu nie sprowadza się tylko do pożyczania, a już na pewno nie — jeśli ma on właściwie spełnić swoją rolę — do przejadania w taki sposób uzyskanych środków. Otrzymane korzyści z prowadzonej polityki kredytowej uzależnione są od spełnienia pewnych istotnych i niezmiernie warunków, z których dwa — jak sądzę wysuwają się na czołowe miejsce.

A więc? Za pierwszy i kardynalny należy chyba uznać właściwe wykorzystanie otrzymanych przez kredyt środków, wykorzystanie w taki sposób, by mogły być osiągnięte niekiedy dalekosiężne cele ekonomiczne, o których wcześniej tak wiele powiedzieliśmy. Generalnie rzecz biorąc chodzi tutaj o intensyfikację własnego handlu zagranicznego, co w tym przypadku jest decydującym miernikiem bowiem tylko w ten sposób wyłania się realna możliwość korzystnego wywiązania się z zaciągniętych zobowiązań płatniczych.

No i po drugie! bardzo pilne przestrzeganie zasady, iż w polityce zaciągania pożyczek nie może być przekroczenia pewna bariera bezpieczeństwa, która określa ją bezwzględnie — jak by się to mogło wydawać, kwoty zaciągniętych pożyczek, ale roczne spłaty z tytułu wzrostu kapitału i odsetek. Przyjmuje się, że taką „barierą bezpieczeństwa” są spłaty na granicy około 25 proc. wszystkich wpływów dewizowych osiągniętych przez państwo na przestrzeni roku.

Odpowiadając na pytanie czytelnika udowodniłmy chyba, że mechanizm kredytu jest jedną z nowoczesnych form dynamizowania gospodarki narodowej. Oczywiście ciągłym problemem jest jeszcze bardziej prawidłowe jego wykorzystanie, może nawet jeszcze większe uwzględnienie przy korzystaniu z tego środka dla rozwoju całej gospodarki, osłaniania jej dalekosiężnych społeczno-ekonomicznych celów, aniżeli zapożyczanie przejściowych niekiedy potrzeb poszczególnych zakładów czy nawet branż. Ale — o to niech się już martwią ekonomisci.

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDĄ MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

W 30-LECIE WYZWOLENIA OBOZU NA MAJDANKU

NIGDY WIĘCEJ!

Ostatnio „Życie Warszawy” przyniosło wiadomość, że ponad 800 świadków z Polski będzie zeznawać w procesie przeciwko b. członkom załogi obozu na Majdanku. Polska Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich zgromadziła dowody winy 54 osób, przebywających obecnie głównie w RFN i w Austrii. Wśród nich znajduje się m. in. trzeci z kolei komendant obozu SS — hauptsturmfuehrer Franz Bodman.

Informacja „Życia” przypomniała mi pewną książkę z mojej biblioteki. Książka ta jest dzisiaj prawdziwym białym krukiem. Ukazała się w bibliotece Związku Patriotów Polskich w ZSRR. Tytuł: „Majdanek — rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie”. W dniach 27 listopada — 2 grudnia 1944 r. odbył się w Lublinie pierwszy w dziejach proces katów hitlerowskiego obozu koncentracyjnego.

W przedmowie książki stanowiącej właściwie stenogram rozprawy czytamy m. in.:

„Lubelska rozprawa sądowa była sądem nie nad tymi lub innymi zbrodniarzami lecz nad samą zbrodnią Majdanek. Ta książka oskarża nie ludzi, ale system, który do tych zbrodni doprowadził, ideologię, która je na świat wydała, państwo, które je organizowało, rząd, który do nich podlegał. Majdanek — to nie tylko obóz ludzkiej męki, obóz zniszczenia i śmierci; to także symbol — symbol całego zezwierzczenia i nikczemności, której na imię faszyzm. Majdanek, to obraz tego, co szykował hitlerizm wszystkim narodom Europy i proces zbrodniarzy z Majdanku — to proces hitleryzmu”.

O godzinie 9 wchodzi na salę Sąd w składzie: przewodniczący Bohdan Zembruski, ławnicy: Genowefa Nadulska i Tadeusz Dymowski. Prokurator Sądu Specjalnego reprezentują oskarżyciele publiczni — Henryk Cieśluk i dr Jerzy Sawicki. Przewodniczący Zembruski otwiera posiedzenie Sądu Specjalnego.

Przewodniczący stwierdza obecność oskarżonych: Herman Vogel, Wilhelm Gerstenmeier, Antoni Terneš, Teodor Schoellem, Heinz Stalp, Edmund Pohimann, oraz ich obrońców z urzędu, którymi są: adw. adw. Wojciech Jarosławski, Kazimierz Krzymowski, Tadeusz Kryštoń, Aleksander Kunicki.

Przewodniczący przystępuje do badania personalii oskarżonych i następnie rozpoczyna się rozprawa.

Z przesłuchania osk. H. Vogla

Przew.: Czy oskarżony przyznaje się do winy i jakiełoży Sądowi wyjaśnienie?

Osk.: Nie przyznaje się do winy. Przew.: Kiedy oskarżony wstąpił do SS?

Osk.: W czerwcu 1934 r.

Przew.: Czy oskarżony od początku pełnił służbę na Majdanku?

Osk.: Najpierw zostałem powołany do regularnego wojska (Wehrmacht).

Przew.: Kiedy oskarżony został przeniesiony do SS?

Osk.: Zostałem powołany do SS w lipcu 1942 r.

Przew.: Czy oskarżony był w Oranienburgu?

Osk.: Musiałem się stawić w Oranienburgu, potem zostałem przeniesiony do Lublina.

Na pytanie przewodniczącego, jakie funkcje spełniał oskarżony na Majdanku, Vogel odpowiada, że jego zadaniem było „zbieranie brudnej bielizny, doprowadzenie jej do pralni, odbieranie i potem rozdawanie wypranej bielizny więźniom”.

Przew.: Czy oskarżony może sobie przypomnieć, ile wysłano odzieży do Niemiec w czasie jego działalności?

Osk.: Przypominam sobie, że wysłano koleją 17 wagonów odzieży.

Przew.: Czy wiadomo było oskarżonemu, że w tym obozie były komory gazowe, w których mordowano więźniów?

Osk.: Słyszałem o tym.

Przew.: Skąd się wzięło tych 17 wagonów z odzieżą?

Osk.: Ten ładunek był już gotowy, gdy przyszedłem do obozu.

Przew.: Czy oskarżony wiedział, co się dzieje w obozie? Gdy pojechał na urlop, czy widział się z żoną, czy opowiadał swojej żonie, co słyszał na Majdanku?

Osk.: Tak jest.

Przew.: Dlaczego oskarżony w śledztwie powiedział, że nie opowiadał żonie o tym, bo się wstydział?

Osk.: Nie o wszystkim opowiadałem, tylko częściowo.

Przew.: Czy wyszedł rozkaz wyniszczenia wszystkich Żydów w obozie zatrudnionych?

Osk.: Tak.

Przew.: Czy wiadomo oskarżonemu, że wszystkie załogi Żydów zostały rozstrzelane?

Osk.: Tak.

Przew.: Czy to się stało w jednym dniu?

Osk.: Wszystko w jednym dniu.

Przew.: Czy na Majdanku były i dzieci?

Osk.: Tak jest.

Przew.: Czy oskarżony tylko dlatego potępia ten problem, że jest nie do przeprowadzenia?

Osk.: To była głupota.

Przew.: Czy innego określenia oskarżony nie ma?

Osk.: Powiedziałem, że to woła o pomstę do nieba. Jestem rzymsko-katolickiego wyznania i niedobrze mi się robiło od tych zajęć.

Przew.: Co się stało z odzieżą i majątkiem pomordowanych?

Osk.: O odzieży nie wiem, ale kosztowności i pieniądze szły do Berlina.

10 kobiet, które musiały rozbierać dzieci. Potem dzieciom kazano iść do komory, opowiadano im bajki, że tam jest dobrze... Gdy były już w komorze, jeden z SD zamykał drzwi, potem czworokątnym otworem zostały wsunięte naboje gazowe.

Przew.: Czy oskarżony wie, że w krematorium palono żywych ludzi?

Osk.: Tak. Jeden wypadek mogę opowiedzieć... Było to w styczniu 1944 r. ... Drzwi do krematorium były nieco uchylone; mogłem więc obserwować, co się tam dzieje: widziałem, że stał samochód ciężarowy, eskortę stanowiło kilku z SD z pistoletami, a po nich jedna kobieta (mowa o partyzantach). Wszyscy oni musieli wejść do krematorium. Oberscharfuehrer — Mussfeld, znany jako okrutnik, był komendantem krematorium i brał udział w rozstrzeliwaniu. Kazano tym ludziom rozebrać się do naga. Mężczyźni musieli wejść do komory betonowej, potem dwaj z SD otworzyli drzwi i z pistoletów maszynowych strzelali do tych ludzi. Zrobiło się bardzo głośno i wtedy Mussfeld powiedział, żeby się rozebrała kobieta. Ona nie chciała się rozebrać. Wówczas Mussfeld zagroził jej, że jeśli nie rozebrze się natychmiast, to pójdzie pod peję. Kobieta się broniła; gdy chciał z niej ściągnąć płaszcz, drapała, Mussfeld miał potem podrapaną twarz. Mussfeld zawołał dwóch dozorców, wielkich i silnych ludzi. Kazal związać kobiecie ręce i nogi. Potem odesłał dozorców i spytał kobietę, czy chce się dobrowolnie rozebrać. Kobieta, leżąc na ziemi, broniła się jeszcze i kopala, gdy Mussfeld się zbliżał, grożąc, że żywcem ją spali. Potem słyszałem, jak kłapa komory się zamknęła, jak krzyżała jeszcze w komorze, ale tylko raz, bo przy tej wysokiej temperaturze człowiek natychmiast musi się zwęgląć. Kobieta wsunęła do pieca jak chleb w piekarni, na noszach, które przeznaczone były dla trupów.

Przew.: Czy były wypadki, kiedy ojciec musiał swego syna powiesić?

Osk.: Takie wypadki zachodziły w starym krematorium... Raz spędzono do starego krematorium 20-30 osób. Tu znajdowała się belka, w której na środku był hak. Podstawiono tych ludzi pod tę szubienicę i ojcowie własnych synów musieli wieszać.

Przew.: Co oskarżony wie o akcji z Hrubieszowa i Zamościa? Czy to prawda, iż ludzie stamtąd w kolejce czekali do krematorium?

Osk.: Wiadomo mi o tym, czekali kilkanaście dni.

Przew.: Czy znane są oskarżonemu wypadki, że bito jeńców zatrzymanych w Majdanku tak długo, póki nie oddawali kału i że musieli następnie ten kał zjadać?

Osk.: Tak.



Wystarczy, chociaż można jeszcze długo cytować zeznania oskarżonych, świadków, przemówienia prokuratorów. Oskarżeni, oczywiście, jak tylko mogli, wykrecali się od odpowiedzialności. Oni najwyżej „styszeli”, czasem „widzieli”, ale żeby sami dręczyli? Nigdy. Dopiero naoczni świadkowie musieli o tym przypomnieć na sali sądowej.

Kaci zostali skazani na karę śmierci. Wyrok wykonano (niestety, publicznie) 3 grudnia 1944 roku na Majdanku, tam, gdzie popełniali zbrodnie. Kiedy prowadzono ich ulicami Lublina, milicjanci musieli strzelać w powietrze, gdyż mieszkańcy miasta chcieli dokonać samosądu. Nie dziwny się — zbyt świeże były jeszcze w pamięci krwawe dni Majdanku.

Niedawno minęła trzydziesta rocznica wyzwolenia obozu. 14-15 września, w Miesiącu Pamięci Narodowej, odbędzie się na Majdanku wielka manifestacja ludności pod hasłem NIGDY WIĘCEJ!

MAREK ADAM JAWORSKI



Fot. A. Kaczkowski

Przew.: Co się stało z tymi dziećmi?

Osk.: Słyszałem że zostały zagazowane.

Przew.: Jakże to były dzieci? W jakim wieku?

Osk.: Słyszałem, że dzieci od 3 do 4 i od 10 do 12 lat.

Z przesłuchania osk. A. Ternesa

Przew.: Oskarżony słyszał o tym, co się działo w obozie, jak to ocenia?

Osk.: To woła o pomstę do nieba.

Przew.: Dlaczego w takim razie oskarżony został w obozie?

Osk.: Bo byłem żołnierzem.

Przew.: Jaką karę powinni otrzymać ci, którzy przyczynili się do tych obozów koncentracyjnych?

Osk.: Powinni być razem z Hitlerem postawieni pod ścianę.

Przew.: Czy oskarżony sądzi, że całe postępowanie Hitlera jest temu winne?

Osk.: Hitler wprowadził w szal całą Europę... Jego ideologia podpaliła cały świat. Problem zniszczenia Żydów jest nie do przeprowadzenia.

Przew.: Czy to było systematycznie, jak u Niemców w zwyczaju, zrobione i zapisywane?

Osk.: Wszystko zostało systematycznie zrobione.

Przew.: Więc wszystko zostało zrobione systematycznie, bez błędów buchalteryjnych?

Osk.: Tak jest. Wszystko zostało zrobione systematycznie. Oczywiście, co SS brała na lewo, tego rejestrować nie było można.

Przew.: Czy oskarżony wie, jak dawano jeść w obozie?

Osk.: Jedzenie było wcale niezłe.

Przew.: Czy oskarżony przy takiej pracy zgodziłby się na takie jedzenie?

Osk.: Nie zgodziłbym się.

Z przesłuchania osk. H. Stalpa

Przew.: Jak niszczone dzieci w komorze gazowej?

Osk.: Samochód nadjechał do komory gazowej, przy tym była obsługa SD. Dzieci skierowano na pole kobiet i stamtąd przyprawiano

RYSZARD BINKOWSKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Ryszard Binkowski urodził się 12 września 1940 roku we wsi Gospodarz pod Łodzią. Zadebiutował w roku 1967 utworem wspomnieniowym w „Odgłosach”, który wyróżniony został w konkursie włóknarzy. Jest także laureatem „Rubinowej Hortensji” w dziedzinie prozy. Wielokrotnie zdobywał nagrody w ogólnopolskich konkursach na reportaże literackie.

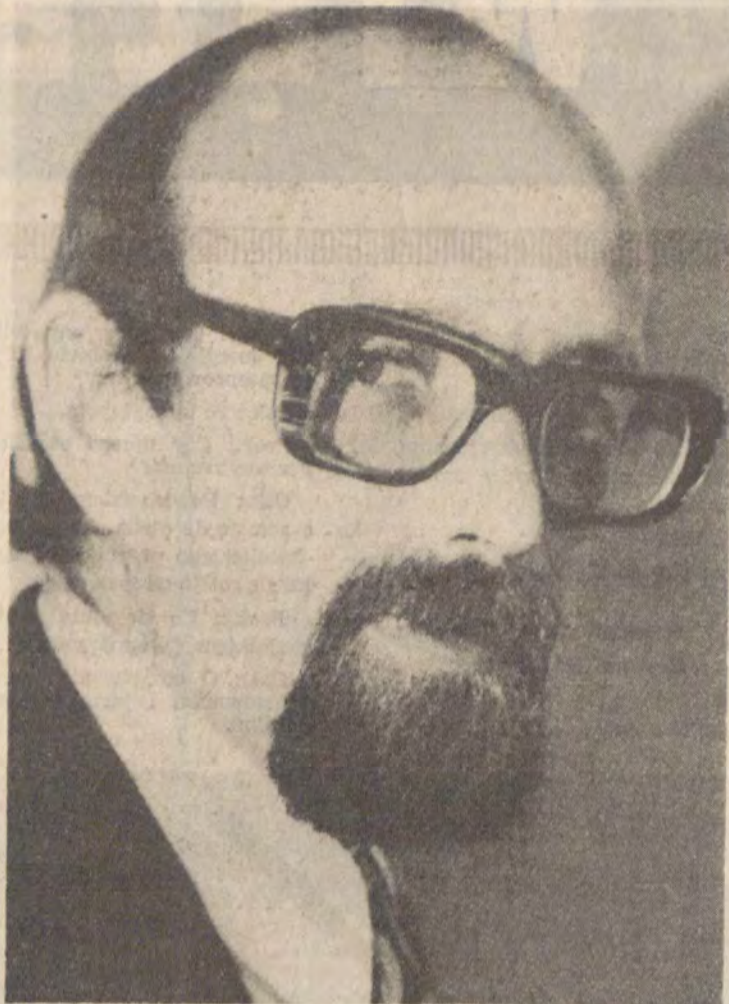
W prozatorskim dorobku Binkowskiego odnotować należy trzy pozycje książkowe, w tym dwie powieści: „Sypała brzezina złotem czerwieni” (1971), „Pójdź nad sadem” (1972) i zbiór opowiadań „Latoś wesele nie będzie” (1974). Dodajmy, że z publikowanych w prasie reportaży złożyłyby się też spory tom.

Problematyka utworów Binkowskiego dotyczy wsi i jej ludzi, przemian ekonomicznych i społecznych, zwłaszcza zaś awansu młodzieży z tego środowiska. Na rzecz diagnoz obyczajowych, psychicznych i socjalnych tego pisarza pracuje niewątpliwie jego własne doświadczenie życiowe. Rozpoznanie rzeczywistości, jakiego dokonuje w swej prozie, dysponuje jednak nie tylko gwarancją autopsji, prawdy swych własnych doznań i obserwacji, ale sprawdza się w pozaliterackiej, obiektywnej postaci świata. Jednym słowem — nie biografia autora potwierdza i uprawomocnia literacką fikcję, lecz czyni to sprawdzalny społecznie przebieg procesów, zachodzących w naszym życiu zbiorowym. Tej sankcji prawdziwości można pisarzowi pogratulować.

Myłoby się jednakowoż ten, kto by mniemał, że twórczość Binkowskiego stoi jedynie tą podporą trafności w odzwierciedlaniu obczaj-

jów, stylu bycia dobrze mu znanych grup społecznych, w artystycznym odbiciu mechanizmów zmian

mówiąc: przystawalność losów bohaterów i obrazu ich otoczenia społecznego do rzeczywistości pol-



cywilizacyjnych, dokonujących się od trzech dziesiątków lat w rolniczej Polsce. Specyfikę tej prozy kształtują bowiem dwie zbieżne tendencje: z jednej strony — bliskość zaplecza empirycznego, inaczej

skłonię, z drugiej zaś strony — skłonność do poetyzacji (tytuły!) wyrafinowany estetycznie styl, odkrywczość językowa, próby symbolizacji, następujące wśród surowej, a nieraz nawet brutalnej faktografii

realizmu. W osobowości twórczej zmagają się w ten sposób predyspozycje reportażysty z aspiracjami literata.

Warto w tym momencie podkreślić, że wybór tematyki i sposób jej literackiego rozpisania na sytuacje fabularne, treści psychiczne, dialogi i emocjonalne napięcia, jaki zastosował Binkowski, jest przedsięwzięciem nad wyraz ryzykownym, jeśli mieć w pamięci wiele nieudanych prób w tym zakresie. Na przykład „Pójdź nad sadem” jest przycięż „pozytywna” w intencjach, ma pozytywnego bohatera i perspektywę optymistycznego finału. Możemy wierzyć w ostateczne zwycięstwo Franka. Składają się na to zarówno walory jego postawy wobec życia, jego odporność na demoralizację i wierność pozytywnym idealom młodości, jak i przychylny dlań generalnie układ życia zbiorowego. Powieść przypomina niebezpiecznie szereg dydaktycznych stereotypów rodowodu jeszcze pozytywistycznego, ale w sumie broni się niewątpliwą rzetelnością rysunku psychologicznego i społecznego, a także umiejętnością wywołania sugestywnego wrażenia niezakłamaną, autentycznością i szczerością.

Dodajmy, że „Pójdź nad sadem” zainteresowali się filmowcy, efektem czego jest film w reżyserii Waldemara Podgórnego (premiery odbyła się w Łodzi 8 lipca 1974 roku).

„Latoś wesele nie będzie”, zbiór dziesięciu krótkich opowiadań, ostatnia z wydanych książek Binkowskiego, dowodzi, że młody pisarz dochowuje wciąż wierności tematyce, powyżej już opisanej. W codzienności, z jej przytłaczającą masą drobnych zdarzeń, autor szuka dramatów, możliwych do wydobycia

tylko dzięki przenikliwemu znanstwu, ukrytych dla oka pobieżnego obserwatora podtekstów owej codzienności. W obrazie wsi dostrzegamy dwa przeciwstawne światy: zacofany, opętany więzami zabobonu, wierzeń i starych obyczajów oraz nowy, „otwarty” na głosy cywilizacji i postępu, ale stawiający nie przygotowanemu człowiekowi duże wymagania. Tradycyjne dramaty rozgrywają się w obrębie starożytności (spory o podział ziemi, zatargi sąsiedzkie, rodowe waśnie). Zbiorowość nowej generacji nie reprezentuje jeszcze równoważnej z tamą siły, lecz zapowiada aktywność, inność, odmianę na lepsze.

Pisarstwo Ryszarda Binkowskiego przychylnie przyjęte przez krytykę literacką, szybko się rozwijające, ściśle wiąże się z działalnością publicystyczną autora. Podstawą większości jego tekstów nowelistycznych i powieściowych są doświadczenia reportażysty, często zapuszczającego sondy w rzeczywistość. Nietrudno byłoby wskazać liczne zbieżności w tematyce i w stylu. O ile jednak jego reportaże dotyczą jednostkowych faktów (czy to z życia wsi, zwłaszcza tych podmiejskich, znajdujących się pod wpływem oddziaływania wielkich aglomeracji na małe miasteczka „satelitarne”, czy są poświęcone nowym inwestycjom, zmieniającym krajobraz dostojnie i w przeności, czy też życiu „ciekawych ludzi” w mieście), o tyle powieści uważać możemy za — wielce obiecujące — próby syntezy, uogólnienia problematyki, którą bada i literacko wy-sławia.

JADWIGA KUCZYŃSKA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

LUBELSKIE PRZYPOMNIENIA

Powróciłem właśnie z Lublina, gdzie miałem okazję uczestniczyć w Sesji Literackiej, zorganizowanej z okazji 30-tej rocznicy reaktywowania Związku Literatów Polskich. Łódzkie środowisko pisarskie reprezentowali także, a raczej przede wszystkim — Jan Huszcza i Igor Sikirycki, obaj związani z początkami polskiego życia literackiego w Lublinie. Huszcza odbył dość daleką drogę ze Wschodu, dotarł do Lublina wraz z naszą 1. Armią, Sikirycki to po prostu lubliniak, tam stawił pierwsze kroki literackie jeszcze przed wojną, w okresie pekawenowskim spikerował w Polskim Radiu i pisywał korespondencje wojenne na przemiał z wierszami.

Przypomnę, że obawiałem się trochę tej właśnie sesji. Często bowiem bywa tak, że przy wielkich okazjach najlepsze okazują się zaproszenia i bankiety, gorzej wypadają powiania i referaty, sztywne, rzekomo sumujące, wyprane z tego, co u początków długiej drogi wydały się najważniejsze — atmosfery, nie zapomnianego klimatu pierwszych dni wojności. Szczęściem tak się nie stało, uczestniczyliśmy w wydarzeniu pełnym, oczywiście, zadumy, refleksji, ale równocześnie ciepłym, żeby już nie powiedzieć — serdecznym. Bankietów na szczęście nie było.

Literatura nie zna przerw, póki żyją pisarze, nie było przerw w czasie okupacji, wtedy także wychodziły tomiki poezji, prozy, ukazywała się tajnie drukowana klasyka polska. Ze wzruszeniem oglądaliśmy pierwsze książki okresu lubelskiego, cztery poszarzałe już, wyblakłe, skromnie zdobite tomiki poetyckie Juliana Przybosa, Mieczysława Jastruna, Jerzego Putramenta i Adama Ważyka, nieco później, ale jeszcze w 1944 roku ukazał się tomik zbiorowy poetów lubelskich. Literatura wyszła z podziemia, lecz — jak wspominałem — służyła ludziom zawsze.

Anna Kamińska, która od roku 1945 odgrywała znaczącą rolę w naszym łódzkim życiu literackim, mówiła o „Weselu” Wyspiańskiego, które przemycano w opiekany specjalnie chleb do obozu w Majdanku. Polskie życie literackie, skromne jeszcze wtedy w Lublinie, rozwijało

się żywiołowo. Komitet, który doprowadził do ponownego powstania Związku Literatów Polskich, działał pod przydum profesora Juliusza Kleinera, pierwszym prezesem wybrano Juliana Przybosa. Nie zachował się niestety, protokół z tego zebrania, być może i wtedy brakowało papieru. Proste, ale kiedyś improwizowane, podkreślone wzruszeniem wypowiedzi Jerzego Putramenta, Zofii Bystrzyckiej, Stefani Grodzkiej, naszych łódzkich kolegów i jeszcze innych, ukazywały w zwykłym ludzkim wymiarze złożoność tamtych dni. Publicyści i krytycy — marksiści, nie za bardzo w przedmiocie marksistowskiej estetyki biegli, urządzali bez przerwy seminaria, Jan Aleksander Król, jedyny król którego chętnie widziałam Polska Ludowa, pisywał płomienne manifesty do chłopów. Należy wszakże mocno wątpić, czy ktokolwiek na wsi czytał te wezwania do przyspieszenia postępu, odzywały się pierwsze głosy, sterujące literaturę w stronę realizmu i masowego odbiorcy, już wtedy słusznie przewidywano, że rozwój oświaty, wzrost potrzeb kulturalnych to przecież nie innego, jak wielka szansa dla pisarza, który może i powinien podjąć rozmowę nie z pojedynczym, elitarnym czytelnikiem, lecz z tym chłonnym i świeżym.

Stuknęło więc Związkowi Literatów Polskich trzydzieści lat. Coż można powiedzieć o tym okresie, jak go zsumować, znaleźć najważniejsze miejsca w jego dziejach? Nielatwa sprawa. Związek Literatów Polskich liczy obecnie około 1200 członków. Liczba, oczywiście, niezgo powiększyć nie może, mówią bowiem książki, znaczy ich rola, zakres oddziaływania. Pozwólę sobie przytoczyć w tym miejscu fragment referatu prezesa Jarosława Iwaszkiewicza:

„Zarówno na rozsądku, jak i na zapale, pracowitości i wytrwałości pisarzom polskim nie zbywało; w ciągu tego okresu mieli nieraz sposobność dowodzenia swej przeczności, patriotyzmu, przywiązania do tradycji rodzinnych i zdolności do kreowania nowych kształtów współżycia. Po wojnie powstało wiele wartości-

wych dzieł kształtujących umysły i postawy nowych pokoleń, nawiązywały one do dawnych tradycji lub też tworzyły nową, stając się trwałą wartością kultury socjalistycznej.

Pisarze powinni podejmować problemy najistotniejsze, nawet najtrudniejsze, ale stale musi im towarzyszyć poczucie rosnącej odpowiedzialności za ich dzieła, których rezonans społeczny jest coraz większy i tym głębszy, im większy artysta za nimi stoi. Największym błędem jest wymaganie od pisarza, ażeby był nadsztawkiem, prorokiem, wieszczem, nieprzeciętnym ofiarnikiem. Trud pisarza to trud ludzki i tym godniejszą podziwu jest stworzenie przez niego dzieła, że jest to dzieło człowieka”.

Ten właśnie fragment oddaje — jak sądzę — najlepiej istotę współczesnej, powojennej literatury polskiej, jej jedność z narodem, jej refleksję nad przeszłością i przyszłością, nad człowiekiem. Ktoś przypomniał w czasie Sesji zakończenie wiersza Wisławy Szymborskiej — „Można żyć bez miłości do Ojczyzny, ale nie można owocować”. Literatura nie da poznać się po manifestach i zamiarach, lecz właśnie po konkretnych owocach. Oby jak najbardziej smacznych i treściwych.

Lublin mało już przypomina tamto miasto Manifestu Lipcowego. Nawet taki lubliniak, jak Igor Sikirycki, przystawał bezradnie na skrzyżowaniach i nie bardzo wiedział, w którą stronę się obrócić. Ale pozostał ów historyczny, stary kwartał miasteczka. Krakowskie Przedmieście — nie wie dzieć czemu tak nazwane, czy piękna Starówka. W tym właśnie rejonie mieści się muzeum Józefa Czechowicza — lubelskiego poety i wychowawcy, który padł od bomby we wrześniu 1939 roku, Kamieniczka stara, zabytkowa, pełna swoistego uroku. Muzeum posiada interesującą ekspozycję, wybiegającą poza Czechowicza, jego dzieje i literackie osiągnięcia. To także początek muzeum lubelskiej literatury, ziemi Biernata z Lublina, Andrzeja Struga czy Bolesława Leśmiana.

Miasto jest niesłychanie żywe, barwne, czyste, wypełnione po brzegi

kipiącą młodzieżą. Inną jest także i Ziemia Lubelska, sławna z boju partyzanckich, przeorana czołganami, zryta ogniem artyleryjskim, spalona. Rozpoczęły się właśnie zbiory chmielu, rozległe plantacje ciągną się kilometrami, widać także malownicze łąki tytoniu, nie spotykane na Ziemi Łódzkiej. Przede wszystkim jednak rzucą się w oczy ruch, praca, wszędzie coś się buduje — fabryki, wirtownie, składy, osiedla, jak zresztą w całej Polsce.

Nigdy nie byłem w Parczewie, choć właśnie w tych stronach, nieco na południe, daremnie poszukiwałem z grupą tak jak ja zrozpaczonych podchorążych, dywizji generała Kleberga. Wsie były nędzne, miasteczka popalone, tylko polski wrzesień okazał się po trzydziestu kilku latach tak samo piękny i ciepły. Po beznadziej i niedzy dawnego Parczewa ślad już nie pozostał. Miasteczko jest czyste, jakby wymyte, chociaż w Powiatowym Domu Kultury powiadali mi, że czysto dopiero będzie jak pan burmistrz wróci, już on przegoni śmieciarzy. To są, oczywiście, zewnętrzne i znane sprawy, wszędzie nowe bloki, dziel-

nice, kwietniki, wesołe muzyczki biegaące uliczkami. Zdumieli mnie czytelnicy literatury w Parczewie. Młodzież Liceum Ogólnokształcącego pasjonuje się pracą w Kole Literackim, dużo czyta, ale to nie wydawało mi się jeszcze tak zaskakujące. Liczna grupa uczniów szkoły dla dorosłych, a byli to pracownicy rozmaitych instytucji, często miejscowi wodzireje, a nawet notabie, zasyłała mnie pytaniami. Wspomnę tylko jedno, które zresztą największą wywołało dyskusję — jak, mianowicie, należy rozumieć ideę pisarską, co zakres tego pojęcia zawiera? Były na mnie siódme poty, nie powiem, przecież jednak doszliśmy wspólnie do wniosku, że pisarz tak samo pyta o sens ludzkiego życia, jak każdy myślący człowiek, z tą wszakże różnicą, że realizacja pisarza przybiera postać książki, czytelnik potwierdza ją swoim rozwojem. Wydaje mi się, że rozmowa na ten właśnie temat bardzo wiele mówi o zbliżeniu, które nastąpiło pomiędzy twórcą i odbiorcą. Bez tego zbliżenia trudno byłoby mówić o oddziaływaniu literatury, jej społecznym zasięgu, jej sensie.



Fot. Jerzy Grygiel

Już w niespełna tydzień po czwartkowym spektaklu Teatru Sensacji, gdy jeszcze telewizorze całej Polski byli pod wrażeniem niezwykłego i wysoko ocenionego przez krytykę przedstawienia obejrzanego na szklanym ekranie, nieoczekiwanie odezwał się głos wskazujący, że... „król jest nagi”. W powodzi pochwał i komplementów pod adresem realizatorów widowiska a głównie autora scenariusza — Jerzego Janickiego i reżysera Andrzeja Konica, głębokim dysonansem zabrzmiała publikacja łódzkiego „Expressu Ilustrowanego”. Najpełniej wówczas nikomu jeszcze nie znany, ledwie rzucający reporter Jacek Indelak, odkrył i miał odwagę napisać, że „przedstawiona na szklanym ekranie opowieść nie tylko nie jest pozbawiona realiów, ale zdarzyła się rzeczywiście w okupowanej Warszawie, a jej autentycznym bohaterem był warszawski artysta-plastyk i architekt wnętrz, Stanisław T.”

Jacek Indelak błyskawicznie odszukał Stanisława Tomaszewskiego i zamieścił na łamach „Expressu” jego wypowiedź.

Było to we wrześniu 1941 roku — mówił bohater. — Jako współredaktor wydawanej przez podziemie „Agencji Prasowej” przyszedłem z materiałami do lokalu drukarni w Al. Jerozolimskich. Nasz biuletyn konspiracyjny drukowaliśmy w nie istniejącym już budynku koło hotelu „Polonia”. Nie wiedziałem, że hitlerowcy wpadli na trop naszej komórki i urządzili w drukarni tzw. kocioł. Prosto wpadłem w ich ręce wraz z przygotowanymi do druku materiałami. Trzymano mnie na osławionym Pawiaku, bito i torturowano, usiłując za wszelką cenę wydobyc nazwiska i adresy współtowarzyszy. Po kilku dniach i nocach nieludzkich „badań”, gdy na wpół przytomny leżałem w celi, korytarzowy o nazwisku Fikus, który również był więźniem, dostarczył mi „gryps”: „adresy zmienne, nikogo nie wyspiesz, możesz mówić...”

Pewnego dnia ten sam korytarzowy przyszedł po mnie do celi i zaprowadził mnie do ambulatorium, choć nie zgłaszałem się na wizytę lekarską. W więziennym laboratorium pracowali wówczas więźniowie — lekarz dentyści Anna Sipowicz-Gościńska i dr Felicjan Loth. Już w trzy dni po wizycie w ambulatorium wystąpiły u mnie silne objawy tyfusu. W obawie przed epidemią hitlerowcy popieściли mnie przewiezli do szpitala zakaźnego na Woli. W grudniu 1941 roku, gdy właściwie byłem już z tyfusu „wyleczony” i miałem wrócić do więzienia na dalsze „badania” przysłała do mnie dr Czarnocka-Karpińska i powiedziała, korzystając z chwilowej nieobecności hitlerowskich dozorców, abym symulował objawy ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Zachowałem się według jej zaleceń. Wtedy przewieziono mnie na chirurgię szpitala przy ul. Płockiej.

Właśnie w tym szpitalu — kontynuował Stanisław Tomaszewski — rozebrał się chyba najbardziej denerwujący finał tej fantastycznej i nieprawdopodobnej akcji uwolnienia mnie z hitlerowskiego więzienia. Dr Leon Manteuffel upozorował operację dokonując zabiegu wycięcia wyrostka robaczkowego na zwłokach podobnego do mnie mężczyzny, który zmarł na gruźlicę w szpitalu w Al. Ujazdowskich. Operacja oczywiście się nie udała. Pacjent zmarł na stole operacyjnym — tak powiedziano osłupiałym Niemcom, którzy cały czas czuwali na zewnątrz sali operacyjnej. Dzięki tej mistyfikacji wymagającej prawdziwego bohaterstwa i opanowania byłem wolny...”

28 maja 1970 roku w udzielonym mi wywiadzie dla „Kuriera Polskiego” Stanisław Tomaszewski powiedział: — „Swoje przeżycia dotyczące niebywałej ucieczki z rąk gestapo przedstawiłem w tomie własnych wspomnień okupacyjnych pt. „Benefis konspiracyjny”. Tom ten był dwukrotnie wydawany przez „Czytelnika” w łącznym nakładzie przeszło 20 tys. egzemplarzy. O mojej ucieczce z Pawiaka pisze też Leon Wanata w książce „Za murami Pawiaka”. Moimi wspomnieniami dzieliłem się również z telewizjami, występując w 1963 roku w programie „Pegaz”. Niestety, widowiska „Umarłem, aby żyć” nie oglądałem. Jestem jednak szczerze zdumiony, że realizatorzy spektaklu ni ślownie nie wspomnieli ani o mojej książce, ani też o tym, że oparli się na autentycznej historii która się naprawdę wydarzyła. Wydział prawny ZAKS poinformował mnie, że zamierza wystąpić przeciwko autorom widowiska o naruszenie moich praw autorskich...”

10 lipca 1970 roku „Życie Warszawy” opublikowało oświadczenie kierownika redakcji sensacji i fantastyki TV:

„W związku z notatkami w prasie stołecznej o widowisku Jerzego Janickiego pt. „Umarłem, aby żyć”, redakcja sensacji i fantastyki TV, która przygotowała ten program, pragnie podać do publicznej wiadomości co następuje:

Wspomniane wyżej widowisko nadane w dniu 21 maja w Teatrze Sensacji zostało napisane przez Jerzego Janickiego na podstawie umowy z dnia 14 września 1969 roku, przewidującej napisanie scenariusza oryginalnego widowiska dramatycznego dla Teatru TV.

Ob. Jerzy Janicki miał, jak oświad-

czył redakcji, wykorzystał materiały faktograficzne z czasów okupacji, pochodzące z książki Szymona Datnera „Ucieczki z niewoli niemieckiej 1939—1945”, Leona Wanata „Za murami Pawiaka”, z „Pamiętników lekarzy” oraz ustnej relacji i konsultacji dr Felicjana Lotha, który był jednym z organizatorów ucieczki więźni z Pawiaka i podobnie jak prof. Manteuffel — stał się prototypem jednego z głównych bohaterów spektaklu.

Autor w swej sfabularyzowanej wersji autentycznych wydarzeń z tego okresu przedstawił je nie z perspektywy ratowanego więźnia, ofiary hitlerowskiego, lecz z perspektywy ratujących go lekarzy, działających w

więc widowiska, jak widać, nie tylko nie może dotyczyć osoby ob. T., ale w realiach w ogóle odbiega od istniejącego stanu faktycznego.

Dr Loth w książce swojej wspomina, że dzięki zakażeniu tyfusem uratowano kilkunastu więźniów. Akcja więc widowiska może dotyczyć każdego z tych kilkunastu wypadków i doprawdy trudno pojąć dlaczego ob. T. odnosi to wyłącznie do swojej osoby.

A jeśliby nawet — to dlaczego ma to mu dawać prawo własności mównicy o tym wydarzeniu? Podkreślam, że faktycznym uczestnikiem i inspiratorem porwania więźni był cały zespół lekarzy. Ob. T. kurczowo docho-

plikacjami oraz zapewnić lżejszy przebieg chorobowy.

2) Zakażono go przez wcieranie kału wszy zakażonej dudem plamistym dospójkowo (wcierając do spojówki oka). Czynność tę wykonał z mego polecenia i według moich wskazówek więzień pełniący funkcję laboranta w szpitalu — inż. chemik Jerzy Poraziński (zginął w obozie koncentracyjnym), a nie dr Felicjan Loth, który z tą sprawą nie miał nic wspólnego. Zabieg został wykonany w gabinecie stomatologicznym, do którego wezwano go lekarz — stomatolog — więziennik funkcyjna, również członek kierownictwa konspiracyjnej siatki więziennej Anna Lipowicz-Gościńska.

racyjnej Szpitala Wolskiego na zmarłego żołnierza (który nie miał nikogo z rodziny w Warszawie) mógł wyjść na wolność, przed szpitalem oczekiwała na niego dr Karpińska w towarzystwie JANINY G., była to moja współpracowniczka, która zgodziła się na pewien czas odstąpić uciekinierowi swoje mieszkanie przy ul. Ludwiki 6.

Wszystkie wymienione osoby jak też inne, których nie wymieniałam, a które pomagały przy uwolnieniu T., należały do konspiracji i działały za zgodą swoich bezpośrednich władz, korzystając nawet z ich pomocy. Np. płk dr Mieczysław Naramowski, który zgodził się wydać zwłoki zmarłego żołnierza, był nie tylko komendantem tego szpitala, ale i szefem konspiracyjnego sanitarium Warszawy. Nie znalazł jednak nikogo, kto by otrzymał rozkaz wzięcia udziału w tej akcji. Niesienie bezinteresownej pomocy, nawet z narażeniem życia, było zjawiskiem powszechnym w tamtych najstraszliwszych czasach.

Czy T. był w więzieniu zakażony tyfusem plamistym? Zawsze byłam przekonana, że zaraził się na Pawiaku, gdzie wówczas panowała epidemia tej choroby. Byłoby to zgodne z wypowiedzią dr Lotha. T. wspomina wprawdzie, że lekarze Pawiaka spowodowali zakażenie, ale (jak twierdzi dr Sliwicki) nie mógł o tym wiedzieć, a z jego opisów taki fakt wcale nie wynika. Wezwany do gabinetu dentystrycznego nie był tam uspony, a więc musiałby zauważyć i zapamiętać dziwne zachowanie osoby towarzyszącej lekarze.

Nie można niepostrzeżenie wtręcić czegoś w spojówkę oka... I jak mogło się zdarzyć, że pomylił dr Loth, człowieka o tak charakterystycznej sylwetce, z dwoma innymi ludźmi, a mianowicie dr Sliwickim i jego pomocnikiem? A więc może nie było żadnego zakażenia? Może dr Sliwicki jedną z wielu osób, które zakażał na rozkaz władz, mylnie skojarzył z Tomaszewskim?

Nie chcę niczego sugerować. T. w swoich wspomnieniach niejedno zdarzenie przeinaczył nieco i ubarwił. Pamięć jest zawodna i ma tę właściwość, że niewyraźne obrazy przeszłości uzupełniamy faktami, które — jak nam się wydaje — powinny wtedy być twierdzone. Nie osmielam się też twierdzić, że moja wersja jest bezbledna...

Jeśli ktoś podejmie się szczegółowego odtworzenia akcji uwolnienia Tomaszewskiego będzie musiał sięgnąć do wspomnień wszystkich uczestników, a więc i do relacji dr Sliwickiego — aby zestawiając je z sobą, tym łatwiej i tym pewniej odrzucić naleciałości powstałe z winy naszej ulomności pamięci. Nie inaczej postępują historycy z dziełami dawnych pamiętnikarzy.

Przeszłość okupacyjna miała wiele pięknych momentów. Do nich z całą pewnością należała także historia uwolnienia Tomaszewskiego. Nie pomniejszamy takich zdarzeń, a tym samym i tamtych czasów, szermując nieostrożnymi słowami jak „nieprawda” czy też „niezgodne z rzeczywistością”. Pamięć ludzka jest zawodna. Pomimo to wszyscy wiernie zapamiętali to co było najważniejsze.

Kończąc swoje wspomnienia Maria Kann bardzo trafnie zauważyła: „Co do sporu Stanisława Tomaszewskiego z TV, nie chciałbym włączać się do rozważań: w jakim stopniu widowisko zostało oparte na faktach z życia. W moim rozumieniu ta sprawa nie mieści się w ramach kodeksów prawnych. Warto byłoby natomiast stworzyć dobre obyczaje, stosowane przy wykończeniu cudzych utworów. Miałoby być pewność, że ci, którzy szukają natchnienia w pamiętnikach żywych ludzi, porozumiewają się z nimi, po prostu przez delikatność, aby nie pokrzywdzić im niechcący jakichś planów...”

Po czterech latach od tamtych publikacji, w połowie lipca tego roku, przed Sądem Najwyższym zakończył się prawomocnym wyrokiem proces cywilny wszczęty przez Stanisława Tomaszewskiego przeciw Komitetowi ds. Radia i Telewizji oraz znanemu autorowi widowisk telewizyjnych Jerzemu Janickiemu o naruszenie dóbr osobistych i praw autorskich.

Przed rokiem Sąd Wojewódzki dla m. St. Warszawy uwzględnił roszczenia Stanisława Tomaszewskiego i orzekł zakaz rozpowszechniania w TV widowiska „Umarłem, aby żyć” w dotychczasowej postaci. Ale Komitet RiTV oraz Jerzy Janicki założyli rewizję domagając się oddalenia roszczeń Stanisława Tomaszewskiego. Autor spektaklu twierdził, że nie znał książki „Benefis konspiracyjny” a pomysł do scenariusza zaczerpnął z monografii Szymona Datnera „Ucieczki z niewoli niemieckiej w latach 1939—1945”.

Po rozpoznaniu rewizji, Sąd Najwyższy częściowo zmienił zaskarżony wyrok. Orzekł mianowicie, że Telewizja może nadal rozpowszechniać widowisko „Umarłem, aby żyć” jednak musi ono być w całości uzupełnione informacją, że oparto je na książce Stanisława Tomaszewskiego „Benefis konspiracyjny”.

W uzasadnieniu Sąd Najwyższy podkreślił, że omawiane widowisko telewizyjne stanowi w stosunku do wcześniejszej książki tzw. dzieło zależne, przy którego publikacji konieczne jest zawsze wskazanie, iż korzystano się z innego dzieła oraz wymienienie jego tytułu i autora.

W ten sposób rozstrzygnięte zostało prawo Stanisława Tomaszewskiego do własnego zyciorysu...

KONRAD TUROWSKI

PRAWO DO WŁASNEGO ŻYCIORYSU

podziemi, z perspektywy ich rozterek i racji moralnych.

Fakty historyczne stanowiące kanwę widowiska „Umarłem, aby żyć”, fakty, w których uczestniczyła cała grupa osób, a które już przedtem zostały przedstawione w różnych publikacjach — nie są, naszym zdaniem, prywatną własnością jednej osoby, lecz stały się własnością społeczną. Redakcja nadając spektakl nie ukrywała, że jest on oparty na wydarzeniach autentycznych. Zapowiadając przedstawienie Teatru Sensacji na antenie podała: „Widowisko Jerzego Janickiego zostało osnute na tle autentycznych wydarzeń z czasów okupacji. O losach człowieka, który „umarł, aby żyć”, przeszedł więzienie i tortury na Pawiaku, szpital zakaźny i salę operacyjną, zadczywała niezwykle pomysłowa i śmiała akcja polskiego podziemia. Jej bohaterami byli przede wszystkim lekarze, uczestnicy ruchu oporu w murach i poza murami Pawiaka. Teatr Sensacji przedstawia sfabularyzowany przebieg tej akcji”.

Abym w przyszłości uniknąć ewentualnych nieporozumień i pretensji, redakcja przy sfabularyzowanych spektaklach „teatru faktów” będzie konsekwentnie egzekwować od autorów i podawać na antenie wykaz materiałów faktograficznych, z których korzystano przy tworzeniu tych widowisk.

Nazajutrz, w tej samej rubryce pt. „Do redaktora „Życia” na łamach stołecznej gazety ukazał się obszerny list Jerzego Janickiego:

„Szanowny Panie Redaktorze!” pisał — Ponieważ i pańskie pismo zamieściło 3 lipca wiadomość PAP o pozwie sądowym Stanisława Tomaszewskiego, który zarzuca Telewizji i mnie naruszenie jego praw autorskich w związku z widowiskiem telewizyjnym „Umarłem, aby żyć”, jakoby opartym wiernie na książce tegoż ob. T. pragnąłbym wyjaśnić co następuje: Teatr Sensacji zaproponował mi napisanie sztuki telewizyjnej opartej na autentycznych faktach z okresu wojny. W tym celu Telewizja przedstawiła mi monograficzną książkę Szymona Datnera pt. „Ucieczki z niewoli niemieckiej w latach 1939—1945”, abym z kilkunastu odnotowanych tam ucieczek wybrał taką, której tworzywo faktograficzne dawałoby największe możliwości udratymowania. Z uwagi na śmiałość pomysłu, na wspólnie uczestniczących własne życie dla ratowania jednego człowieka, wybrałem z książki tej ucieczkę określoną przez autora jako „Casus Stanisław T.”. Podkreślam — z tej książki, która jest monografią ucieczek jako jednego ze środków walki z okupantem.

Na tle tego historycznie w wielu publikacjach odnotowanego wydarzenia napisałem sztukę, której motywem przewodnim nie były dzieje ob. Tomaszewskiego. Moralna postawa lekarzy stojących przed dylematem, czy można w imię racji wyższych jakimi były racje polityczne, narażać życie ludzkie na śmiertelną chorobę, czy zgodne to jest z etyką lekarską podana przez warunki okupacyjne tak niesłychanej próbie, była treścią mojego widowiska. W tym widziałem prawdziwy i głęboki sens napisania sztuki. Odbylem rozmowę z dr Felicjanem Lothem, aby udokumentować warunki pracy lekarza na Pawiaku.

Tu muszę wyznać, że z punktu widzenia warsztatowego rozmowa ta nie w pełni mnie usatysfakcjonowała, ponieważ wyobraziłem sobie, że bakterie tyfusu specjalnie były sprowadzone z wolności, tymczasem dr Loth wyprowadził mnie z błędu, że epidemia tyfusu tak czy owak na Pawiaku panowała. Po to więc, aby wystrzycić problem w sztuce pozostałem przy moim założeniu, stwarzając w ten sposób fikcyjny dylemat (a co za tym idzie i fikcyjną sytuację): hipoteza epidemii wobec ratowania jednego życia. Wymyśliwszy ten problem konsekwentnie należało już wymyślić całą akcję sprowadzenia karkolomnymi sposobami bakterii z wolności itd. itd. Treść

dzący swego prawa własności do opisu, jako jedyny uczestnik, odmawia spopularyzowania w społeczeństwie zasług lekarzy, którym w ogóle życie zawdzięcza.

Nie dość na tym. W kilka dni po spektaklu, ob. T. wyznał reporterowi „Kuriera”, że widowiska niestety, nie oglądał (sic!) Jest to więc jedyny w swoim rodzaju wypadek, kiedy powkrzywdzony nawet nie wie, w jaki sposób został pokrzywdzony, ale dla pełności krzywdy swojej pragnie dochodzić.

Gdyby ob. T. widowisko obejrzał lub gdyby zwrócił się choćby do TV o tekst scenariusza dość szybko przekonano by się, że sztuka jest nie o nim, lecz o lekarzach, którzy go ratowali. Pisarz ma pełne prawo do faktu historycznego zanotowanego wyciągnąć takie wnioski, jakie mu się podoba i przyjmować punkt widzenia dowolnego bohatera. Toż chyba nikomu tłumaczyć nie trzeba, że np. opierając się na zamachu na Kutschera można napisać sztukę z punktu widzenia zamachowców lecz również z punktu widzenia samego Kutschery. Za każdym razem, choć materia sprawy została ta sama, tkanka artystyczna będzie różna, przez co będą to dwie najzupełnie różne sztuki (...)

Na koniec dość istotna ciekawostka. Wiadomość PAP o pozwie sądowym ukazała się w prasie 2 lipca. Tymczasem jeszcze 3 lipca — jak stwierdzili prawnicy — pozw ten w Sądzie Wojewódzkim nie był przez powoda w ogóle opiany, nie miał zatem mocy prawnej, pozostając praktycznie prywatnym papierkiem ob. T. z wyszczególnionymi tam żalami.”

Sprawa stała się głośna. „Czy widowisko TV „Umarłem, aby żyć” jest plagiatem?” — zastanawiała się jedna z najpopularniejszych gazet warszawskich informując jednocześnie, że „pełnomocnik powoda mec. Eugeniusz M. wnosi w pozwie o zakaz dalszego wystawiania w TV i rozpowszechniania w jakikolwiek sposób sztuki „Umarłem, aby żyć” i zobowiązanie TV oraz Jerzego Janickiego do podania publicznie do wiadomości, że sztuka dotyczy autentycznych przeżyć Stanisława Tomaszewskiego, które zostały wykorzystane bez jego zgody. Pełnomocnik wnosi też o zasądzenie od TV i Jerzego Janickiego solidarnie 20 tys. zł na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża...”

Przy okazji sporu odbyły też wspomnienia, odeszli się uczestnicy i świadkowie dramatów rozgrywających się bez mała 30 lat wcześniej za murami Pawiaka, jednej z najstraszliwszych kaźni zorganizowanej przez hitlerowców.

Opublikował swoje wspomnienia dr Zygmunt Sliwicki, który przebywał na Pawiaku od 26 września 1940 roku do 31 lipca 1944 roku i w tym czasie jako lekarz — więzień na funkcji był członkiem kierownictwa siatki konspiracyjnej.

— Pragnę — pisał w „Expressie Wieczornym” — podać faktyczny przebieg akcji, gdyż podane niektóre fakty w książce Stanisława Tomaszewskiego nie odpowiadają rzeczywistości. Na wstępie muszę podkreślić, iż komórka nasza przeprowadzała zakażenia sztuczne, jedynie celowane, tj. imienne, zlecane przez organizację konspiracyjną na wolność. Zapewniano to maksimum powodzenia uwolnienia więźni przez akcje zsynchronizowane w szpitalu wolnościowym.

Na oddziale męskim Pawiaka akcje zorganizowane prowadził ja, zaś na oddziale kobiecym dr Anna Czuperska. Przy zakładaniu staraliśmy się kamuflować sposoby zakażenia, aby chore więźni w stanie gorączkowym nie mogli zdradzić akcji. I — jak wynika z książki Stanisława T. — to nam się udawało.

Wracając do „akcji” więźni politycznego Stanisława T. wykonałem następujące zabiegi:

1) Wstrzyknięto szczepionkę Weigla (dostarczona z zewnątrz), aby skrócić okres wylegania, tzn. przyspieszyć wystąpienie objawów chorobowych, a jednocześnie zabezpieczyć przed kom-

Dr Gościńska kamuflowała akcję przez zabieg dentystryczny.

Zabieg się powiódł, i o ile dobrze pamiętam, po 12 dniach wystąpiły objawy duru plamistego. Chory został przyjęty do szpitala więziennego.

Przygotowałem meldunek o zachorowaniu wraz z wywiadem epidemiologicznym (bardzo ważnym, aby udokumentować ewentualne źródło zakażenia), zarządzenia kwarantannowe oraz napisałem wniosek o przewiezienie T. do szpitala zakaźnego wolnościowego.

Po podpisaniu wniosków przez polskiego urzędowego lekarza więziennego dra Stefana Baczyńskiego — powiadomiono lekarza gestapo, który przyjechał na Pawiak (ja byłem tym, który mu referował przypadek).

Lekarz gestapo przychylił się do naszych wniosków, a po uzyskaniu zgody z al. Szucha na przewiezienie do szpitala zakaźnego wolnościowego Tomaszewski został tam karetką przewieziony.

Pragnę jeszcze zwrócić uwagę na niezgodne z rzeczywistością fakty zamieszczone w książce, a mianowicie: x Przy wywożeniu do szpitala wolnościowego więźni Tomaszewskiego nie był przesłuchiwany przez gestapowca, x Nie był oblewany wodą.

x Nie wóził szyby w celi szpitalnej. Przy transporcie jego ze szpitala więziennego byłem osobiście obecny. Z żalem stwierdzam, że z powodu chwilowej nieobecności w kraju nie oglądałem widowiska telewizyjnego — zakończył swoją publikację dr Zygmunt Sliwicki.

Rychło jednak okazało się, że... pamięć jest zawodna. Oto na łamach tej samej gazety warszawskiej opublikowała z kolei swoje wspomnienia p. Maria Kann.

„Od pewnego czasu — napisała — na łamach pism trwa dyskusja pomiędzy Stanisławem T. a przedstawicielami TV, która nadała widowisko „Umarłem, aby żyć”. Na marginesie tej dyskusji zabrał głos dr Z. Sliwicki ogłaszając list otwarty pt. „Lekarz Pawiaka ujawnia kulisy akcji „Umarłem, aby żyć” i zarzucił Stanisławowi Tomaszewskiemu, że w swoich wspomnieniach zamieścił fakty „niezgodne z rzeczywistością”.

Nie chciałbym, aby moja wypowiedź była odczytana jako podobny zarzut stawiany z kolei dr Sliwickiemu. Jeśli jego twierdzeniom przeciwstawiam własną wersję minionych wydarzeń, to tylko dlatego, aby przypomnieć, jak bardzo zawodna jest ludzka pamięć i jak trudno odtworzyć ze szczegółami to co się działo przed dawnymi laty.

Rekonstruując przebieg zdarzeń dr Sliwicki opiera się na założeniu, że akcja uwolnienia T. była przeprowadzona na rozkaz władz konspiracyjnych, które spowodowały zakażenie więźni, a potem ułatwiły ucieczkę. Jego zdaniem udział władz gwarantował w jakimś stopniu powodzenie akcji: „Zapewniano to — jak pisze — maksimum powodzenia uwolnienia więźni przez akcje zsynchronizowane w szpitalu wolnościowym”.

Jako uczestniczka akcji uwolnienia Tomaszewskiego mam poważne wątpliwości czy władze centralne zsynchronizowały w tym wypadku to co się działo na Pawiaku i w szpitalach znajdujących się poza jego murami. Wszystkie nasze poczynania były kierowane przez dr Czarnocką-Karpińską, matkę Krystynę, ówczesnej żony T. Ona to właśnie — o ile wiem — ułożyła i uzgodniła z lekarzami plan działania, polegający na tym, aby chorego na tyfus T. (który był przewieziony z Pawiaka do szpitala zakaźnego) „usłodzić” czyli wymienić na autentycznego nieboszczyka.

W tej akcji poza lekarzami brali udział członkowie rodziny Tomaszewskiego, jego przyjaciele i przyjaciele jego przyjaciół. Koledzy z Akademii Sztuk Pięknych wystąpili w roli sanitariuszy. Potrzebne zwłoki były wydane ze Szpitala Ujazdowskiego na skutek prywatnych starań. Kiedy Tomaszewski wymieniony w sali ope-

ZDOBYĆ PIRENEJE

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z FRANCJI)

Dalszy ciąg ze str. 1

karm dla psów, środki owadobójcze, szampony, mydła, kremy, lakiery, proszki piorące, soki (popijane na otwartych platformach przez dziewczyny z przyklejonym do twarzy wodowym uśmiechem), aperitify firmy Pernod i Ricard, które kiedyś stały do siebie w ostrej konkurencji i były tanie, a teraz zjednoczyły się i trzeba płacić po trzydziestu franków za butelkę, ciemne i jasne piwa Kronenburgera, wina stolowe z prowincji Bordeaux, Armagnaki, Salignaki i koniaki, z których każdy — wedle słów rozkrzyżowanego spikera — może zamienić swoją nudną ziemską egzystencję w zaczarowaną baśń.

Oto wozy Bank Nationale de Paris tasujące się na wąskiej szosie z wozami Adidas. Oto orszak znanych francuskich gazet i magazynów: Le Figaro, Le Monde, L'Humanité, La Depeche, Paris Match; nie brak bulwarówki Le Dimanche, która trzy tygodnie temu uśmierciła na pierwszej stronie Marlona Brando, a na drugiej przywróciła go do życia, nie brak gazdiniówki Soir de France, której okazały krajoznik zatrzymuje się nagłe tuż przed moim nosem i zaczyna się wielka, okazjna wyprzedaż zdeaktualizowanych numerów; nie brak również zagranicznych tytułów: belgijskich, hiszpańskich, niemieckich, włoskich; toczy się Daily Telegraph i gdyby „Odgłosy” miały tylko pół takiej platformy, mogłyby na niej wystawić (do wiatru) wszystkich swoich autorów. Radia i Telewizji się nie czeplam, gdyż wraz z kołującym nad nimi helikopterem prowadziły coś w rodzaju transmisji sportowej, co ma jednak wspólnego z wyścigiem ta cała japońszczyzna: Hondy, Yamahy, Datsuny, Suzuki?... Przebrani w ciężkie kostiumy motocykliści reklamują niezawodne ogumienie grubasa Micheline — głowy, torsy, ramiona i nogi zrobione są z opasyli opon, wydaje się, że człowiek w takim pancerzu powinien natychmiast odwalić kite, tym bardziej że na dworze szaleje pirenejski upał, a oni nie tylko zgrabnie lawirują pomiędzy samochodami, lecz nawet, w chwili, kiedy szosa przechodzi w ostry zakręt, skaczą nogami na siodełka i jadą tak na sto-

jąco, bez trzymanki, z szeroko rozstawionymi rękami, wzbudzając nieklamany zachwyt tłumów.

W pewnym momencie spokój na szosie został z lekka zakłócony, żandarmi nie przewidzieli bowiem, że zbliżający się samochód słodkiego wujka Poulaina cisnie w tłum kilkadziesiąt reklamujących czekoladę ulotek i garść prawdziwych cukierków. Chłopcy i niektóre bardziej śmiałe dziewczynki rzuciły się na tę niespodziewaną darowiznę, w związku z czym doznałem olśnienia, że dzieci na całym świecie, nawet w krajach tak zamożnych jak Francja, są podobnie łakome i jednako durne... Pisk opon, krzyk rodziców, gwizdki żandarmów — obyło się na szczęście bez wypadków i te smyki, które miały akurat pod ręką matkę lub ojca, z miejsca odebrały należytą karę (soczyście wymierzony policzek, lub kopniak w stworzoną do tego część ciała), a te, co nie miały, zostały przegnane przez żandarmów.

Niektóre wozy nie ograniczały się wyłącznie do reklamy, która jest wprawdzie dzwignią handlu, ale do różnych zysków nie daje; zjeżdżając na pobocze otwierały się jak płyty mechanicznych kwiatów, wystawiając na widok publiczny artykuły żywnościowe, konfekcję męską i damską, obuwie... Wybrać, przebrać! Ten wyciągnął z kosza koszulę, tamta nylonowe majtki; pieniądze zmieniły właściciela, sklep zatrzasnął się, odjechał, a na jego miejsce podkolewał niebawem drugi.

Znudzony przeciągającym się widokiem postanowiłem skrócić sobie czas oczekiwania na kolarzy w naróżnej kawiarni. Wszedłem tam, a właściciel, uprzejmy i pogodny jak zdecydowana większość Francuzów, wyciągnął do mnie gestem powitania obie ręce.

— Ca va? — zapytał zgodnie z panującym obyczajem.

Odpowiedziałem:

— Ca va.

— Bien? — ucieszył się.

— Bien.

— Pour vous, Monsieur?

— Un Martel.

— A votre service! — nalał mi naparstek tego, co w Polsce jest drogie, a we Francji też nie kropi z nieba. Nalał mi, dziwiąc się zapewne, że te-

raz, przed obiadem, w porze aperitif, piję (zamiast Porto, Ricarda czy też Blanc Cassis) ten niestosowny trunk. Tak czy owak nalał, przetrzął chustką spoconą twarz i znikł we wnęce za kontuarem, delegując do obsługi leźniejszej niż zwykle klienteli swoją korpulentną małżonkę.

Wypiłem i mówię do niej:

— Combien je vous dois, Madame?

A ona:

— Cinq francs.

— Jezus, Maria, Madame! — ja jej na to. — Wczoraj byłem i płaciłem za to samo tylko trzy.

— Chyba musiał się pan pomylić — rzecze dama z czarującym uśmiechem. — Trzy, to kosztuje koniak Harrody'ego.

— Nie — protestuję z niewytornym, słowiańskim uporem, jako że i we Francji nie lubię, aby ktoś mnie robił w konia. — Na pani własnym cenniku pisze, że Martel kosztuje tylko trzy.

Zrywam się ze stołka i biegnę tam, gdzie zazwyczaj wisi cennik, i widzę zakurzone po nim ślad na ścianie. Zdjęty Naturalnie, został zdjęty! Nie to, żeby właśnie mnie chcieli koniecznie oszukać. Oddycham. Z okazji Tour de France odbyła się chwila podwyżka cen. Kawa, cola, piwo, lemoniada — wszystko na tę parę godzin poszło w górę, ale wieczorem wróci z pewnością do normy.

Kładę na łóżku czystością kontuarze trzy franki. Kobieta protestuje zamaszycie, lecz pojawia się nagle jej mąż.

— Ca va, merci, merci — powiada z ciepłym uśmiechem i czuje jak rozpuszczam się od środka. Kocham go. Wszystkich Francuzów kocham! Są tacy do nas podobni! Bardziej wprawdzie pogodni i uprzejmi, ale równie w interesach błyskotliwi, dzięki czemu zdaje się człowiekowi, że trafił na kawał do Kutna.

Wracam na zalaną słońcem ulicę na nowo chłonąc uroki wielkiej imprezy. Znowu Hondy, Yamahy, Suzuki, Datsuny; znowu srodki piorące i odświeżające, znowu alkohole, soki, odzież, obuwie; nawet upstrzone nalepkami wozy policji i żandarmerii oraz najeżone czujkami radarów ciężkie motory lapaczy drogowych nosiły na sobie piętno reklamy, zdając się mówić: naraż się nam, a dostaniesz w głowę pałką z najlepszego amerykańskiego nylonu albo zwali cię z nog sam byłeś mistrz świata w podnoszeniu ciężarów (co zresztą nie przystaje do prawdy; Francuzi są grzeczni, spokojni; w ciągu całego pobytu nie widziałem ani jednej bójkki czy choćby

klótni, ani razu nie Interweniowała policja, co zaś się tyczy pijanych (czytaj: podpiitych) to spotkałem tylko trzech i też nie wiem, czy nie byli przypadkiem turystami.

Karawana popisywała się najróżniejszymi klaksonami: wesołe melodyjki, ryk osła, beczenie wielbłąda; co drugi pojazd nadawał muzykę rozrywkową, w sobie właściwym rytmie i tonacji; każdy spiker zachwalał walory innego towaru i innego kolarza, a tych jak nie było tak ma, aż tu nagle...

W ostatniej chwili zauważyłem cztery zgarbione, tragicznie zagubione w potoku pojazdów sylwetki. Poczulem ostry zawód i zdenerwowanie. Kto to był, jak Boga kocham! może jakaś amatorska forpocza? Trzymałem w ręku listę startową, znalazłem również klasyfikację generalną po siedemnastu etapach: Merckx, Lopez, Poulidor, Panizza, Aja, Agostinho, Martinez, Santy, Pollentier, Van Springel. Czy był jeden z nich wśród tej czwórki?

— Nie było ani jednego — twierdził śledzący na składanym krześle jego-ność. I patrzę raz po raz na zegarek,



dorzucam: — Wszyscy jadą w zasadniczym peletonie, ale... do tych czterech mają już trzy minuty straty.

Nad Arrens kołuje helikopter. Ludzie zadzierają głowy, a ja wlepiam wzrok w rozmiętą szarość drogi. Nie obchodzi mnie teraz nie oprócz Merckxa, Merckx, tylko Merckx! Nie ważne czy będzie z przodu czy z tyłu. Chcę zobaczyć człowieka, któremu niedawno, podczas wyścigu we Włoszech, udzielił błogosławieństwa sam papież, człowieka, którego twarz pokazuje się w gazetach znacznie częściej niż twarze najslawniejszych polityków.

Jest! Pedaluje w otoczeniu swojej stajni. Ma tylko dwie ręce i dwie no-

gi; przyodziany w koszulkę lidera, z grymasem znużenia na zadziwiająco młodych licach, robi wrażenie gościa, którego żona — jedza oderwała od stołu i wysłała rowerem... po chleb; utrapiony, lecz konieczny obowiązek, który on, wielki Merckx, potrafi odwalić szybko i lepiej od innych, po to, żeby przed innymi wrócić i zasiąść do stołu.

I nie ma już Merckxa. Nie ma Poulidora. Znowu wytapetowane reklamami samochody i porwany na strzepy peleton. Ostroymi zakosami w górę, wciąż pod górę w kierunku Col de Soulor. Każdy z kolarzy, który osiągnie w końcu ten nie niższy od Giewontu szczyt, momentalnie zrozumie, czemu auto jest droższe od roweru.

Jakoś mi się robi smutno. Tłum — znacznie mniejszy niż u nas na Wyścigu Pokoju — rozchodzi się do domu. Odjeżdżają żandarmi, służba porządkowa w tri miga uprzęta ulice. Nad schłodnym, leżącym tuż przy granicy hiszpańskiej miasteczkiem, zalega cisza. Wysokie, zwieńczone wieżami śniegami Pireneje, do których w tym rejonie bardzo rzadko zaglądały turyści, szybko wyliza się z ran zadanych im przez kolarską karawanę. Ja też zapomnę niebawem, że na tym właśnie gorzystym etapie

Mój usilnie wymierze prośbę, to w... my tu... o jaki... trudna... cię 300... datku... Wła... tutaj r... waniu... wot m... stereot... — P... niu, że... cewity... nizacji... ścią i... i rozb... świec... jących... Ten... cji po... zachoc... wadzi... ków c... RFN... Prac... klety... dni p... Wloch... i Turc... manie... gospos... podkr... 58 pr... higien... podkr... opieki... służby... Ten... Pracy...

Sport amatorski jest przede wszystkim zabawą a sport zawodowy — biznesem, aczkolwiek jeden i drugi wymaga żelaznej woli i stalowych mięśni. Wstyd mi, że kończę reportaż tym wysłowianym truizmem, nie będąc jednak sprawozdawcą sportowym, a tylko nędznym opisywaczem obyczajów, nie stać mnie na fachową ocenę obu zjawisk.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KRYSTYNA KASZYŃSKA

NIE TYLKO CONSTANCA...

Bukareszt podbił mnie mediolańskim wdziękiem. Spodziewałam się spotkać tu galerię postaci hałaśliwych i gestykułujących kobiet, znanych z podróży na Balkany. Tymczasem bukaresztańczycy okazali się mile powściągliwi, nikt nie krzyczał, a dziewczyny poruszały się wdzięcznie w powłóczystych, kolorowych spódnicach!

Nazajutrz po przecwałowaniu sal Muzeum Narodowego, w którym najostrej wbiły mi się w pamięć obrazy Teodora Amana i Mikołaja Grigorescu, wychodzę na zewnątrz, gdzie powietrze zabarwione chłodem wczesnego popołudnia nie jest już wrzgiem człowieka. Zwawo wracam do cerkwi Kretulescu, wzniesionej w 1722 roku i podziwiam wspaniały zbiór ikon bizantyńskich. Wieczorem, z moją gospodynią, wymieniam uwagi na temat sposobu przyrządzania ajwaru i podejmuję decyzję.

Muszę pojechać w głąb kraju! Po co właściwie miałabym teraz jechać do Constancy?

Mihail, kolega tłumacz, którego poznałam na kursie dla slawistów w Splicie, jest obecnie na podobnym kursie letnim wykładowcą w Braszowie. Wita mnie, jak byśmy się wczoraj roztali. Przy porcji mitel rysuje trasę, którą powinnam pokonać w dwa tygodnie. Wydatków na przejazdy — nie przewiduje się! O tym nie ma mowy! Zaliczam w Braszowie Muzeum ze wspaiałą galerią portretów osiemnastowiecznych anonimów oraz Pojanę Braszowską. Rankiem następnego dnia stoimy za wiaduktem na szosie sygnalizując, że chcemy jechać w kierunku Sibiu. W Fagaras, z plecakami wyładowanymi konserwą „made in Poland” sprawdzamy przebieg rekonstrukcji zamku, po czym rumuńską „Nyską”, usadowieni dosłownie na łożyskach kulkowych, dąbimy do celu. Kierowca

hamuje łagodnie tak, że łożyska i my pozostajemy bez szwanku.

Deszcz leje w Sibiu jak z cebra. Żołądki mamy wypełnione ślwkami, dzięki czemu możemy z miną mondenów odliczyć po 47 lei za miejsce w bungalowie wylotowego campingu.

W Muzeum Brukenthala oglądam bogaty zbiór naczyń ceramicznych z epoki neolitu, które wykopano na terytorium Rumunii oraz interesującą kolekcję portretów XVIII- i XIX-wiecznych.

Wędrując po mieście dostrzegam wspaniały gmach, który dosłownie osadza mnie na miejscu. Architektura i otaczająca go przyroda tworzą naturalną kompozycję. To drugi po Teatrze Narodowym, widzianym w Bukareszcie, klejnot współczesnej architektury rumuńskiej, jaki widziałam! Nie wierzyłam własnym oczom, bo to był Związkowy Dom Kultury! Łatwiej to zrozumieć, gdy wie się, że w XII wieku Sibiu posiadało już

szkołę, w XIII wieku — szpital, że wszystkie jego ulice wybrukowano w XVIII stuleciu, a pierwszą linię tramwajową uruchomiono zaraz po Wiedniu — jako w drugim mieście Europy.

Stoję przed katedrą św. Trójcy i podziwiam tę dokładną kopię Aya Sophii z Istanbuhu. W kościele parafialnym widziałam takie zabytki z czasów jezuitów, jak ambona i konfesjonał, także imponujący grobowiec ksiądzę, dłuta Antoniego Schuchbauera.

* * *

Kierowca, wiozący nas do Alba Julia, mówi nieźle po francusku i jest lokalnym patriotą. Uśmiecha się do mnie i to dodaje mi otuchy. Bardzo jej zresztą potrzebuję, bo nogi mam poranione upadkiem do kanału, nie-dokładnie przykrytego płytą chodnika. — Oto Apulum, jedno z trzech

głównych miast rzymskiej prowincji! — Wóz zatrzymuje się przed biblioteką miejską, która słynie z bogatych zbiorów. Z budynku wybiega wysoki brunet i wita nas jak zagraniczną delegację!

— Lapidarium! — informuje brunet zrzucając w hallu Muzeum mój plecak. Czuję się trochę nieswojo wśród rządu poustawianych na słupach głów wstalek i korpusów Zeusa bez głowy.

Teraz rozumiem głębiej powiedzenie: „babka z głową”!

* * *

Wyobrażałam sobie, że rychło znajdziemy się za rogatkami miasta, a tymczasem wszystko poszło nie po mojej myśli. Zgięta pod ciężarem plecaka, zbolala ofiara wypadku, kłnę „urozmaiconą rozbudowę” miast powstałych „nie na prawie magdeburckim”. Alba Julia, to zagłębie przemysłowe! Kolumny ciężarówek z ce-

SAMI WŚRÓD OBCYCH

(KORESPONDENCJA WŁASNA z RFN)

Dalszy ciąg ze str. 1

metra łatwiej posłyszysz można język serbski, włoski czy turecki aniżeli niemieckie słowo. 180-metrową wieżę telewizyjną panującą nad terenami olimpijskimi w Monachium wykonały też ręce obcokrajowców. Nikt tutaj zresztą nie ukrywa, że cudzoziemcy robotnicy zatrudniani są przy pracach najcięższych, najbardziej niebezpiecznych bądź też w takich gałęziach przemysłu, w których prace kształtują się najniższe, np. w zakładach włókienniczych. Ale nie tylko w tym tkwi problem, nie tutaj — jakby powiedział Niemiec — jest pies pogrzebany.

Więc — gdzie?

* * *

Mój rozmówca namawiał mnie usilnie, prosił, bym przypadkiem nie wymieniał jego nazwiska. Muszę tę prośbę uszanować: — Pan rozumie, to w interesie mojej rodziny, jestem tutaj od roku, staram się właśnie o jakieś mieszkanie a to bardzo trudna sprawa, jeśli się nie może płacić 300 marek miesięcznie, a w dodatku...

Właśnie. Mój rozmówca przyjechał tutaj rok temu z Dalmacji w poszukiwaniu pracy i chleba. Jak długi żywot mają pewne utarte poglądy czy stereotypy...

— Przyjechałem tutaj w przekonaniu, że znajdę się wśród ludzi pracowitych, w kraju o świetnej organizacji pracy, zadziwiających czystością i higieną, dobrze zorganizowaną i rozbudowaną opieką społeczną, w świecie ludzi punktualnych, wymagających, ale i życzliwych.

Ten wizerunek przybysza z Dalmacji potwierdzają badania Instytutów zachodniemieckich, które przeprowadziły taką sondę wśród robotników obcokrajowców pracujących w RFN. Jak stwierdza Federalny Urząd Pracy w specjalnym raporcie z ankiety rozpisanej podczas pierwszych dni pobytu wśród 1500 robotników z Włoch, Jugosławii, Grecji, Portugalii i Turcji, 82 proc. miało wysokie mniemanie o pracowitości ich aktualnych gospodarzy, czyli Niemców, 70 proc. podkreślało wysoką stopę życiową, 58 proc. wskazywało na czystość i higienę, liczny odsetek z uznaniem podkreślał osiągnięcia w dziedzinie opieki społecznej, szkolnictwa czy służby zdrowia.

Ten sam jednak Federalny Urząd Pracy musiał przyznać, że w miarę

upływu czasu ten wypracowany „wizerunek” zmienia się u robotników — gości i mają oni aż nazbyt krytyczne spojrzenie na wiele zjawisk występujących w Republice Federalnej Niemiec, a odnoszących się szczególnie właśnie do tej grupy społeczności, jaką stanowili cudzoziemscy robotnicy.

Powiedziałem już, że miałem możliwość zetknąć się z tym problemem. W eleganckim domu jego właściciel nie wynajmie mieszkania włoskiej rodzinie choćby było ją na to stać. Przeciętna zachodniemiecka rodzina bardzo niechętnie patrzy, gdy córka lub siostra „chodzi” z przybyszem z Hiszpanii lub Włoch, choćby to miało być „chodzenie” do kina. To samo jest w przypadku takich przywilejów, jak opieka zdrowotna czy socjalna, a dziecko rodziny włoskiej, jugosłowiańskiej czy tureckiej nie ma co marzyć, by mogło się dostać do ekskluzywnych szkół, których poziom nauki gwarantuje dobry start życiowy.

Zyją więc w gettach. To prawda, że wielu z nich składa się na społeczny margines i daje pożywkę gazetom nastawionym na sensacje najgorszego gatunku. Ale prawda jest i taka, że społeczeństwo, do którego trafili, któremu zaofiarowali swoją pracę ściśle się od nich odizolowało.

To nie są tylko moje wrażenia, i odczucia. Raport Instytutu Badania Opinii Społecznej w Allensbach stwierdził, że trzydzieści pięć proc. Niemców zapytanych o stosunek do robotników zagranicznych stwierdziło, iż stanowią oni element rozkładowy. Tylko 17 proc. uważało, że stanowią wprawdzie czynnik użyteczny, ale równocześnie są złem koniecznym. 14 proc. było przekonanych o „głupocie i wulgarności” obcych.

Trudno się więc dziwić, że w tych warunkach ludzie ci, wegetując po barakach będąc wyzyskiwanymi przez wynajmujących lokale, które tylko z największym trudem można określić mianem dla człowieka, separują się od społeczeństwa, w którym przez jakiś czas żyją, a bardzo często nie potrafią nawet skłębic dwóch, trzech zdań w języku niemieckim, że dążą do zgromadzenia pewnej kwoty pieniędzy przez ciężką pracę i możliwie szybko opuszczają kraj, gdzie traktuje się ich nie jako „gastarbeiterów” ale właśnie jako „fremdarbeiterów”. Nie jak gości, lecz jak obcych.

Zresztą to nie tylko dotyczy przybyszów z Turcji, Jugosławii, Włoch czy Portugalii. Ale pani Simoes nie stanowi wyjątku mając olbrzymie kłopoty w znalezieniu dla swojego synka miejsca w przyzwolonej szkole oraz mieszkania w „dobrej” dzielnicy. Hamburg jest miastem — punktem etapowym również dla tych ludzi,

k którzy niedawno wyjechali do RFN z naszego kraju. Nie byłam i nie widziałam tych obozów. Wydaje mi się jednak, że spojrzenie człowieka, którego trudno posądzić o stronniczość będzie bardziej wymowne. Na łamach „Koelner Stadt Anzeiger” ukazał się w tych dniach reportaż pióra zachodniemieckiego dziennikarza Stoekera. Pisze on m. in.: „Miejscowa ludność nie chce przyjąć przesiedleńców jako „swoich” i izoluje się od nich. Najpoważniejszy problem to sprawa mieszkania i pracy. Gdzie znajdują najczęściej mieszkania? Poza miastami w pobliżu osiedli dla bezdomnych. Kobieta, którą zachodniemiecki dziennikarz zapytał o adres obozu przejściowego powiedziała: „Myśli pan o obozie gdzie mieszkają... Polacy?” W zakładach pracy nazywają ich często „dreckigen Polacken”. (Darujcie Czytelnicy, że nie przetłumaczyłem tego zwrotu — dop. red.). Są izolowani — kontynuuje zachodniemiecki dziennikarz — nikt się o tych ludzi nie troszczy, prawie nikt nie chce mieć z nimi do czynienia, a oferty przychodzą tylko wtedy, kiedy potrzebna jest tania siła robocza. Ojciec młodego człowieka, wykwalifikowanego ślusarza stwierdza: „Mój syn musi wykonywać najgorszą i najbrudniejszą robotę”.

Tyle „Koelner Stadt Anzeiger”.

Co do tego można jeszcze dodać? Muszę powiedzieć, że zadumałem się po przeczytaniu tego artykułu w zachodniemieckim i wcale nie lewicowym piśmie. Jakoś dziwnie, skojarzył mi się on z głośno powtarzanym przez RFN-owskich ultrasów żądaniem „wyrzucenia” obcokrajowców za Ren.

Czyżby w obronie... rasy?

KRZYSZTOF POGORZELEC



II TARGI TKANINY ARTYSTYCZNEJ

pozytywnym przykładem aktywizacji środowiska plastycznego w jego działalności na rzecz miasta, województwa i poszczególnych instytucji i przedsiębiorstw są działające w Łodzi pod kierownictwem Związku Polskich Artystów Plastyków Zakłady Artystyczne „ART”. Działalność tych zakładów zasadza się przede wszystkim na konkretnej pracy opartej o przemysłowy i perspektywiczny plan usług na rzecz społeczeństwa. Zapotrzebowanie miasta na owe usługi jest ogromne, a zatem ogromna jest też odpowiedzialność jaką wzięły na swoje barki Zakłady Artystyczne. I tak stało się faktem, że Zakłady przy wdzięcznej pomocy Zarządu Łódzkiego Okręgu ZPAP włączyły się aktywnie i twórczo we wszystkie ważne problemy życia miasta i Ziemi Łódzkiej, zarówno w zakresie szeroko pojętego upowszechnienia kultury plastycznej, jak również mądrze rozumianej ekonomii kultury.

Przykładem powyższej działalności Zakładów Artystycznych „ART” są organizowane po raz drugi już Targi Polskiej Tkaniny Artystycznej. Drugie Targi Polskiej Tkaniny Artystycznej są imprezą artystyczno-handlową, nad którą patronat przejęły wyżej wspomniane Zakłady, Biuro Handlu Zagranicznego „DESA” i „COPEXIM-CPLA” i zorganizowane są w Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi w dniach od 16.IX.74. Pomysł zorganizowania Targów zrodził się w łódzkim środowisku plastycznym (zrzeszającym około 400 specjalistów — artystów włókienników) w oparciu o wybitne osiągnięcia artystyczne polskiej tkaniny

unikatowej na arenie międzynarodowej, a także o szerokie reperkusje, jakie wywołało za granicami kraju Triennale Tkaniny w Łodzi w roku 1972.

Targi przeznaczone są zarówno dla odbiorców polskich, dla osób prywatnych jak i dla przedsiębiorstw i instytucji oraz dla klientów zagranicznych. Pierwszeństwo w zakupach dzieł sztuki tkackiej przysługują będzie oczywiście muzeom polskim. Na Targi zgłosiło swe prace ponad stu artystów — tkaczy z całej Polski. Są to w większości znani i wybitni artyści sztuki tkackiej. Na Targach znajdują się: gobeliny, żakardy, dywany, aplikacje i hafty, dzianiny, kilimy, techniki własne, mieszane, malowane czyli właściwie pełny wybór artystyczny sztuki włókienniczo-tkackiej. Zamierzeniem Targów jest upowszechnienie dzieł artystycznych z zakresu sztuki tkackiej współcześnie tworzących artystów polskich, których osiągnięcia ideowo-artystyczne godne są popularyzacji. Wydaje się celowe i potrzebne, aby w muzeach, galeriach, w zakładach pracy, klubach, świetlicach, domach kultury i w gmachach reprezentacyjnych znajdowały się dzieła z zakresu współczesnej sztuki tkackiej. Tak bowiem rozumiany bezpośredni kontakt ludzi pracy z artystami przynosi wprawdzie niewymierną, ale na pewno ogromną i ważną korzyść ideowo-wychowawczą i kulturalną.

Opiekę nad Targami objęło Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi, w którego salach eksponowane są tkaniny. Fakt ten dobitnie podkreśla kulturalną rangę Targów.

Targi Polskiej Tkaniny Artystycznej, zgodnie z inicjatywą w środowiskach artystów plastyków, Zakłady Artystyczne „ART” postanowiły wprowadzić na stałe do kalendarza imprez kulturalno-handlowych urządzanych na terenie miasta Łodzi, tu bowiem przemysł włókienniczy wspólnie z współpracującymi z nim czy też obok niego artystami wytworzył trwałe wartości artystyczne w zakresie sztuki tkackiej.

A. G.

mentem, bieżącą i czynną tam jeszcze wzniesłą tumanami kurzu; upał nie do wytrzymania, a droga wije się jak tasieniec, bez jednego drzewka! Wreszcie upragniony zakręt! Co, do diabła! Tworzy się korek. Samochody jadą tu z prędkością 1 kilometra na godzinę tylko, że w przeciwnym kierunku. Te, do Kluż, czekają grzecznie na przysłowiowego Godota. W szoferkach tłok, a na platformach materiał wybuchowy i cement!

* * *

Kluż, zwane przez Daków — Napoca, opanowane przez Rzymian i podniesione do godności kolonii. Żeby było ciekawiej, w wiekach średnich zostało doszczętnie zniszczone przez Tatarów, po czym odbudowali je pracownicy kolonistów niemieccy. Wreszcie, w okresie reformacji znaleźli w nim schronienie polscy arianie, Habsburgom, którzy podbili je w XVII wieku, odbijają miasto powstańcy węgierscy w 1848 roku i to pod wodzą nie byle kogo, bo generała Józefa Bema! To, że Kluż wcielono do Rumunii w 1920 roku i że jest ono dziś największym ośrodkiem gospodarczym i kulturalnym Siedmiogrodu, a jednym z największych ośrodków naukowych Rumunii — wie każde rumuńskie dziecko! Burzliwą

historię miasta potwierdza fakt, że budowa jednego z ciekawszych zabytków sztuki gotyckiej trwała tu z przerwami od 1482 roku po wiek XVIII! Jest nim klasztor Franciszkanów, słynący z biblioteki, do powstania której przyczynił się późniejszy wykładowca na uniwersytecie we Florencji, Nicolaus de Mirabilibus. Kluż jest też miastem rodzinnym Macieja Korwina. Dom, w którym ten wspaniały wódz przyszedł na świat, stoi do dzisiaj. Jego pomnik na piata Libertati przed kościołem św. Michała jest takim symbolem miasta, jak kolumna Zygmunta dla Warszawy.

Starszym jednak zabytkiem sztuki rzeźbiarskiej jest ukryta wśród zamkniętego czworoboku budynków — statua św. Jerzego, wykuta w brązie na rozkaz Karola IV przez dwu braci-rzeźbiarzy, Martina i Georgia w roku 1332!

Dzieła sztuki sakralnej rzeźbiarskiej z Kluż odnajdujemy także w skansenie, położonym w lasku Hoja: są nimi trzy drewniane kościółki niezwykłej urody. Przy okazji widzimy również siedem typów różnego rodzaju urządzeń „prymitywnej techniki wiejskiej! Podziwiać można inwencję Rumunów w zakresie ocalania przed zapomnieniem tego, co piękne lub

godne uwagi! W ogrodzie botanicznym Kluż znalazłam takie coś, czego nie widziałam gdzie indziej. Autentyczny, herbaciany ogródek japoński! W Pałacu Banff kolekcje płócien wybitnych malarzy rumuńskich i arcydzieła szkoły włoskiej, flamandzkiej, holenderskiej i rosyjskiej oraz bogate zbiory grafiki — i żegnam Kluż!

* * *

Wieczorem w Moldawicy gnamy do monasteru, którego furtę zamykają o dzwiałej. Trafiamy na nabożeństwo według wczesnego obrządku. Wszystko wydaje mi się ciekawe. Pop w welonie i zapach kadzideł, i chorał bizantyński czterech siostrzycek. Nabożeństwo jest długie, toteż kontempluję wnętrza świątyni. A jest na co patrzeć!

Architektura cerkwi rumuńskich jest szalenie dekoracyjna. Kształtowana w kręgu sztuki bizantyńskiej odznacza się wyciecznym stylem wschodniego. Zasadniczym jej typem była budowla kopułowo-krzyżowa na rzucie krzyża greckiego, wpisane w czworobok, przesklepione pięcioma kopułami z kopułą środkową wyższą, spoczywającą na czterech mocnych filarach. Wnętrze wypełniają zazwyczaj malowidła ścienna, wyposażenie sncerskie i konostasy. Bukowinę jednak i rejon miasta Jassy cechują cerkwie jednokopułowe, pokryte malowidłami wewnątrz i, co jest osobliwością sztuki moldawskiej, także i

na zewnątrz. Cerkwie były tu zazwyczaj ośrodkami obronnych klasztorów. Od wieku XVIII malowidła zewnętrzne zastąpiła dekoracja płasko rzeźbiona. Cerkiew Trzech Świętych w Jassach, której płaskorzeźba zewnętrzna łączy motywy bizantyjskie z elementami ludowymi Moldawii jest tego przykładem. Jej wnętrze podzielone na cztery części zdobije marmurowy ikonostas ozdobiony mozaiką i drogiemi kamieniami. W marmurowych grobowcach spoczywają: Wasyl Lupu, Dymitr Kantemir — znany erudyta i Joan Cusa — twórca I zjednoczenia Rumunii (Moldawii z Wołoszczyzną). Obok cerkwi, Wasyl Lupu stworzył w Jassach akademię na wzór kijowskiej, w której studował wielki humanista Moldawii, Mikołaj Spatearu, a nawet zorganizowano pierwszą w Moldawii drukarnię (w 1643 roku!). W pałacyku obok cerkwi Trzech Świętych w 1874 roku mieszkał największy poeta Rumunii, Michał Eminescu. Jeżeli jesteśmy przy Jassach, to należy pamiętać, że znany w XVII wieku uczonec rumuński, Mikołaj Milescu, sprowadził z Rosji dla metropolity moldawskiego, Dosoftei, nowoczesne maszyny drukarskie, spod których wyszły dzieła, dzięki którym ukształtował się język i literatura rumuńska. Oglądam ich pierwsze wydania w domku Dosoftei, także siedzibie drugiej co do kolejności drukarni, powstałej w Moldawii.

Prześliczna sylwetka pałacu księcia Aleksandra Cusy, w którym dziś znalazło pomieszczenia muzeum i imponujący pomnik Stefana Wielkiego, utrwalają w pamięci miasto, znałe już wcześniej z lektury „Trylogii”.

* * *

Aby dostać się do Tulczy, trzeba przebyć Dunaj. Po drugiej stronie łapiemy autobus, który jest świadectwem niedorozwoju w dziedzinie transportu. Brak klamek, a tylnie siedzenia spadają na zakrętach wraz z pasażerami. Właśnie mam szczęście zajmować jedno z nich. Czuję pod sobą „piekielny gorąc”, który ostrzega mnie, że za chwilę coś wybuchnie. Towarzystwo w autobusie przednie. Otrzymuję informacje co do najlepszych win: Salici-Nicolitel, Babadag i Murfatlar, wkuwam na pamięć.

Murighiol jest po tym piekle prawdziwym rajem! W domu Rodiona jadają najlepszą zupę rybną, a biny nawet i bez cukru są słodkie! W pokoju śpię na wielkim łóżu z desek, nad którym króluje pobielany, moldawski piec. Pod oknem mam obszerną ławę, a w ogrodku dojrzewają winogrona.

Gospodarz wozi nas łódka po delcie Dunaju, zrywa dla mnie wodne orzechy, a kiedy nikt nie widzi, podbiera z cudzych sieci ryby, które potem jego żona przyrządza nam w sosie cebulowym na kolację.

Obudził mnie zegar na wieży u świętej Anny bijący osma. Jakis czas leżałem patrząc beznamiętnie przed siebie i wsłuchując się w swój organizm. Ktoś mógłby mnie posadzić o hipochondrię, typowe dla starego człowieka doszukiwanie się dolegliwości. Nie, żadnej niedomogi nie wmawiałem sobie, one po prostu były. Czemu się tu dziwić, jak się ma sześćdziesiąt lat?

Wreszcie wstałem z łóżka z uczuciem pustki i ze świadomością, że oto czeka mnie dzień równie bezbarwny jak poprzednie i jak następne, które mi jeszcze zostały. Łazienka była zajęta przez wnuczkę, więc wszedłem do kuchni i wyjąłem z lodówki przygotowane dla mnie śniadanie. Gdy już jadłem, wpadła Anna tylko w biustonoszu i slupkach. Przykre mi było to jej niekrepowanie się moją osobą. Dziadek dziadkiem, ale jestem przecież mężczyzną. Wypila na stojąco kubek gorącego mleka i już jej nie było. Pozostała po niej tylko woń perfum Antilope.

Dzień był jesienny, ale ciepły, słoneczny. Dokąd ma się udać stary człowiek jak nie do parku? Park nasz jest nieduży, odwiedzany przez robotniczą ludność dzielnicy. O tej porze przeważają tam matki z małymi dziećmi i podobni do mnie emeryci. Mam w zwyczaju wdawać się w rozmowy z matkami dozorującymi swoje pociechy.

Tego dnia usiadłem obok kobiety trzydziestoletniej, może nieco młodszej. Widoczny na jej twarzy smutek starł wszelką chęć podobańca się, ale oczy miała jasne i piękne. Obok bawilo się paroletnie dziecko, ubrane równie skromnie jak matka. Ta para tworzyła jakby zakomponowany obrazek z czytelną niemal treścią. Coś natrętnego zawisło nad głowami matki i córki, jakiś dramat rodzinny lub cierpienie. Nie skłaniało to do rozpoczęcia banalnej rozmówki, zająłem się więc gazetą. Po jakimś czasie dobiegł do moich uszu cichy dźwięk, ni to szmer, ni to westchnienie. Zerknąłem za gazety i stwierdziłem, że kobieta płacze. Czyta jakiś list i tłumnie łkanie, ale wielkie lzy spływają jej po policzkach.

Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Wstać i odejść dyskretnie? Ale to byłoby może wygodniectwem, uchyleniem się przed najdrobniejszą choćby daną współczucia. W niecodziennej sytuacji dopomógł mi przypadek. Silniejszy podmuch wiatru porwał z kolan kobiety zapisaną kartkę papieru, unosząc dość daleko. Szybko — by nie dać się wyprzedzić — zerwałem się z ławki i pobiegłem za wirującym listem. Podziękowała mi tak gorąco, jakbym istotnie wyświadczył jej dużą przysługę. W dodatku dziecko objęło rączkami moje kolana i przytuliło do nich twarzyczkę szczebiocząc: — Tato, tato...

Matka była wyraźnie speszona i zaczęła mnie przeproszać.

— To dlatego, że ojca nie ma — szepnęła i lzy znów stanęły w jej oczach.

— Czy... — zaryzykowałem pytanie — ojciec nie żyje?

Nastąpiła dłuższa pauza, po czym kobieta odezwała się jakby podejmując desperacką decyzję:

— On jest w więzieniu.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Głaskałem tylko główkę dziecka patrząc matce w oczy, by nie pomyślała sobie, że jej szczerze zniweczyła mój życzliwy stosunek.

Ten list — powiedziała kobieta — to od niego. Pan sobie pomyśli, że to jakiś kryminalista. Nie, to był porządny człowiek. Nieszczęście sprawiło, że znalazł się za kratami.

— To znaczy, że ma pani cierpić niewinnie? — spytałem.

— Jak to panu powiedzieć? On był kolejarzem. Może pan pamiętać tę straszną katastrofę przed trzema laty u nas na stacji? Co to pociąg osobowy stał pod semaforem, a ekspres wpadł na niego z tyłu z całym rozpedem. Zginęło wtedy więcej jak dziesięć osób, a rannych było ze dwieście.

Oczywiście, że pamiętałem tę tragiczną katastrofę, jedną z najstraszniejszych w historii naszego kolejnictwa.

— I to musiało właśnie trafić na mojego męża — żaliła się kobieta. — Nie mogę powiedzieć, że był niewinny. Miał dyżur na stacji, czegoś tam nie dopilnował, komuś zaufał latwowiernie. Nie był głównym oskarżonym w procesie, a przecież dali mu siedem lat. Inni dostali jeszcze więcej. Jak sędzia czytał wyrok, to na sali powstał jeden wielki płacz i lament. Płakałyśmy my — żony, matki, córki, to jasne, ale płakał także oni na lawie oskarżonych. To nie byli przecież przestępcy, tylko ludzie spokojni, rodzinni...

Zamilkła i przeżywała jak gdyby od nowa ten moment na sali sądowej. A ja myślałem sobie, że obiektywna wina skazanych była poza wszelkimi wątpliwościami. Sala seria zaniedbań, niedopatrzeń, braku odpowiedzialności zsumowała się w sposób potworny. Wzburzenie opinii publicznej było wielkie i znalazło swój wyraz w surowości wyroku. Ale czy mogłem to powiedzieć tej kobiecie? Rzeczem więc tylko: Rozumiem panią. To była wielka tragedia rodzinna.

Dowiedziałem się następnie, że Mariolka nie jest jedynym dzieckiem Idalii (to rzadkie imię, znane tylko z literatury, nosiła moja nowa znajoma), dwoje starszych było w szkole. Ona sama, klejąc pudełka w spółdzielni, utrzymywać musiała rodzinę. Mąż słał listy z więzienia, udzielał w nich różnych rad, ale od tego nie było jej lżej. Lzy znowu popłynęły z jej oczu.

Zacząłem ją pocieszać, ale zły byłem na siebie za swoją pustą gadaninę. Zauważyłem jednak, że Idalia inaczej odbiera moje słowa. Przestała płakać i przysłuchiwała mi się z bacznością. Gdy żegnaliśmy się po pół godzinie, byliśmy zaprzyjaźnieni.

ry z trudem panuje nad roznoszącą go energią. O rok młodsza Iwonka prezentowała raczej nieśmiałość i urodę matki.

Na widok czekoladek rozbiły się oczy dzieciom, ale radość ich błada przy wrażeń, jakie zrobiły na Idalii herbery. Po prostu oniemiała, z pewnością dawno już nikt nie ofiarował jej kwiatów. I tak się zaczęła moja pierwsza wizyta w domu Idalii. Zasiadłem z nimi do stołu, piłem herbatę i jadłem placek z kruszonką, rozmawiałem z Jarkiem na temat nauki.

— Jest zdolny, ale charakter ma trudny, panie profesorze — wyjaśniała Idalia.

go następnego dnia wprost ze szkoły do sklepu z obuwiem, by mu kupić buty. Poprosiłem go, by nie o tym nie mówił zawczasu matce. Buty wybrałyśmy lśniące, koloru bordo, na grubej, mocnej podeszwie. Na sam ich widok Jarkowi śmiały się oczy. Odprowadziłem chłopca pod dom, ale nie wszedłem: chciałem zostawić Idalii trochę czasu na oswojenie się z faktem obdarowania Jarka. Odczekałem jeden dzień i dopiero wtedy tam poszedłem.

Starszych dzieci nie zastałem w domu. Idalia wprowadziła mnie do pokoju, usiadła obok mnie na starej otomanie, po czym jakby tylko czekała na ten moment — wybuchnęła

opiekunczej sily, której brak tak bardzo Idalia odczuwała. Ten moment, w którym usta nasze się spotkały, zaczął nowy etap w moim życiu, był jak zielony pęk, wypuszczony przez wyschły już pozornie konar. Jednocześnie pocałunek Idalii stanowił jakby feudalne poddanie się władzy seniora. Odtąd ja miałem kierować sprawami tego domu i podejmować najważniejsze decyzje.

— Jutro pójdziesz ze mną do sklepów, Idalko — powiedziałem tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Wybierzemy trochę drobiazgów dla ciebie.

W przewidywaniu znacznych wydatków podjąłem następnego dnia poważną część moich oszczędności. Zakupy dokonywane z Idalią przysporzyły mi wiele radości. Krążyliśmy po domu towarowym zatrzymując się przy stoiskach z materiałami, bluzeczkami, bielizną, obuwiem. Uważnie obserwowałem radosne błyski w jej oczach, by potem każdorazowo przełamywać jej wewnętrzne opory. Rosła ilość niesionych przez nas paczek. Mogłem się do woli napatrzeć Idalii, oglądając jej zgrabne nogi podczas doborania bucików, jej sylwetkę przebiegającą przed lustrem w przemyślanych sweterkach. Rozpięła mi na dziecinna duma wobec ekspedientek i innych kupujących, gdy naradzała się ze mną nad wyborem staniczka czy kompletu bielizny. Kiedy wracaliśmy z magazynu rozświetlonymi już ulicami, obladowani masą paczek i paczuszek, Idalia powiedziała:

— Nie mogę uwierzyć, że to wszystko prawda. Chyba niebo mi pana zesłało w nagrodę za smutki i zmartwienia.

— Nie przesadzaj — odrzekłem. — O czym tu mówię? Przy moich zarobkach te zakupy to bagatelka.

— A czy... — tu Idalia zawahała się — czy nie ma pan rodziny, obowiązków?

Polapałem się, że nie mówiłem dotąd Idalii nic o swoim życiu prywatnym.

— Jestem wdowcem — powiedziałem zgodnie z prawdą. — Mam dorosłą, zamężną córkę, dobrze sytuowaną, która nie potrzebuje niczego ode mnie. Poza pracą zawodową moje życie jest puste. Wierz mi, świadomość, że mam się o kogo troszczyć, to radość dla mnie.

Rodziła się między nami coraz silniejsza więź: ta kobieta, te dzieci, to skromniutki mieszkanie — to był mój dom. Idalia dawała mi coś, czego bezwiednie odmawiała mi rodzona córka: poczucie, że jestem potrzebny, oczekiwany, nawet podziwiany. Życie moje popłynęło nowym łodziem. Bywałem już tam codziennym gościem, znikalem z domu na całe popołudnia. Fakt, że moja rodzina wydawała się tego nie dostrzegać, świadczył wymownie, jak bardzo osoba moja była jej obojętna.

U Idalii gospodarzyłem na dobre, zakupując niezbędne przedmioty i sprzęty. Nie wyobrażałem sobie nigdy, że znajdę w tym tyle szczęścia. Myślałem tylko o bojaźni, że to się musi kiedyś skończyć. Niepokój budził przy tym stan moich finansów. Przyjąłem wobec Idalii pewien styl sugerujący standard życia o wiele wyższy od mych istotnych możliwości. Wycofanie się z tego zbudziłoby uśpiąca przeze mnie czujność młodej kobiety. Próbowałem dyskretnie ograniczyć nieco wydatki, powściągnąć ich tempo, ale postanowienia te nie wytrzymywały jednej wymiany spojrzeń z Idalią.

Aż przyszło bolesne przebudzenie z pięknego snu.

— Czekają nas poważne zmiany, ojcze — powiedziała któregoś dnia moja córka Małgorzata. — Karol dostał nominację na dyrektora wielkiej inwestycji na Dolnym Śląsku. Przenosimy się tam wszyscy i to już niebawem. Przygotuj się do tego. Masz taką przerażoną minę, tatusiu.

— Widzisz, Małgorzato — rzekłem cicho — młode rośliny można przesadzać bezkarnie na inne miejsce, ale stare drzewa...

— A jednak musisz się z tym pogodzić — brzmiał wyrok mej córki. — Mogę cię utrzymywać, póki jesteś z nami. Na dwa domy mnie nie stać. W niewiele dni później złożyłem ostatnią wizytę u Idalii.

Zastałem ją wesołą, snuła plany na przyszłość, a ja z rozpaczą w sercu sztykawałem się do ujawnienia jej całej prawdy. Zaczęłem nawet mówić, ale nie zdobyłem się na zniszczenie swojego mitu w jej oczach. Nakłamałem znowu o jakichś powierzonych mi wykładach za granicą i, związana z tym, koniecznością czasowego rozstania. Dzieczenina, jak to ona, zareagowała płaczem. Uspokajałem ją jak umiałem, zapewniałem, że rozstanie nie będzie trwało długo. Wreszcie opuściłem jej dom, który chciałem uważać za własny. Gdy zamknęły się za mną drzwi, oparłem się o ich futrynę kompletnie wyczerpany. Czulem ucisk wokół serca... Cofnąć się już nie mogłem, przede mną nie było już nic. Nic.

Fragment powieści, przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PODWÓJNE ŻYCIE RYSZARDA S.

Idalia wpadła w lepszy nastrój. Wyraziłem gotowość odwiedzenia jej w domu i porozmawiania ze starszymi dziećmi, z których zwłaszcza chłopiec przysparzał jej kłopotów wychowawczych. Propozycję moją przyjęła wręcz z entuzjazmem. Umówiliśmy się za trzy dni. Mogłem wprawdzie pójść już nazajutrz, ale nie chciałem, by brała mnie za starucha, który nie ma żadnych zajęć. Napomknąłem coś o wykładach, do których muszę się przygotować, zły zresztą na siebie o to małe kłamstwo.

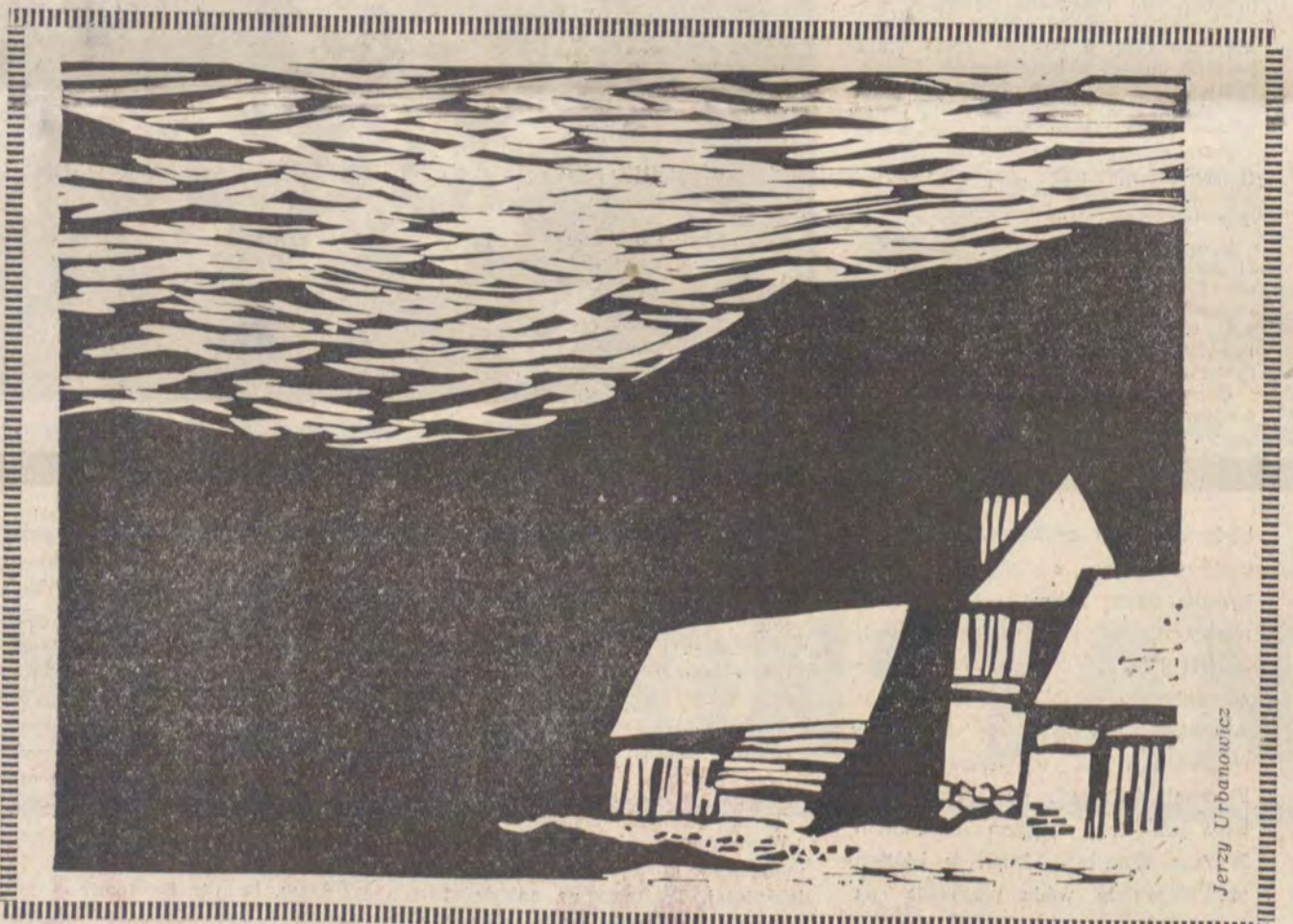
To kłamstwo nie dawało mi spokoju przez następne dni. Nigdy w życiu nie byłem hochsztaplerem, nie usiłowałem wprowadzać ludzi w błąd co do swojej osoby, by ciągnąć z tego jakieś korzyści. Tym razem również

Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie, że tak łatwo i niewinnie przyswoiła sobie moje kłamstwo, ale nie mogłem wypaść, z raz przyjętej, roli.

— W życiu prywatnym — powiedziałem — nie lubię tytułowania. Niech pani mówi do mnie: panie Ryszardzie, a dzieci mogą mnie nazywać wujkiem.

Przez jakiś czas prowadziłem rozmowę na tematy neutralne, nie traćłem jednak z pola widzenia celu swej wizyty. Chciałem dowiedzieć się od Idalii możliwie najwięcej o niej i jej troskach. Jednocześnie chcąc jej oszczędzić upokorzenia, musiałem kluczyć i dotykać tych spraw mimochodem. Ze strzępów wypowiedzi, westchnień, wymownych przemilczeń składałem sobie obraz życia tej ko-

gwałtownym płaczem. Przez jakiś czas zaskoczony nie reagowałem na to, licząc że się opanuje. Ale płacz narastał, zamieniał się w szmaty i bolesne doznania ostatnich lat skumulowały się w tej żalostnej skardze. Przesunąłem się bliżej i pogłaskałem jej nagie ramię. Gest mój wyprzedził słowa, był narzędziem łatwiejszym, od razu gotowym do użycia. Słowa spłynęły później ani mądre, ani wyszukane. I właśnie wtedy, nim zdążyłem przeszkodzić, wargi dzieciny przylgnęły do mojej dłoni. Jednocześnie z kąta pokoju przywędrowała Mariolka i opasała moje kolano rączkami, szczebiocząc: — Tato, tato... Wzruszony otoczyłem jednym ramieniem dziecko, a drugim Idalię i przytuliłem je do siebie. Trwaliśmy



Jerzy Urbanowicz

nie chodziło mi o osobistą korzyść. Chciałem pomóc Idalii i jej dzieciom, a w tym celu musiałem pozostawić za progiem jej domu osobowość biednego rencisty i przyoblec się w powłokę człowieka silnego, aktywnego, w którym znaleźć można oparcie. Konsultant w instytucie naukowym. Ten tytuł brzmiał dostatecznie nobilitująco, by budzić w Idalii szacunek dla mej osoby.

Od rana w dniu wyznaczonym odczuwałem młde podniecenie. Po obiedzie oświadczyłem, że idę do kina, na co nikt zresztą nie zwrócił uwagi, odwożąc się do kwiaciarzy, gdzie czekała na mnie zamówiona wiazanka, po czym w sklepie cukierniczym kupiłem wielką bombonierkę. Idalia powitała mnie w drzwiach ubrana w swoją najlepszą chybą, choć wyblakła sukienkę. Dwunastoletni Jarek miał na sobie nieco już wyrośnięty granatowy garnitur, pewnie od pierwszej komunii. Miał wygląd wesołego łobuziaka, któ-

biety ze szczególnym uwzględnieniem miejsc bolesnych, uciążliwych. Zdawałem sobie sprawę, że na tych właśnie obszarach przyjdzie mi działać. Wnęć Jarek nie ma butów na zime, przydałoby się pomyśleć o opale. Iwonka potrzebuje sukienki... Idalia pomijała całkowicie swoje potrzeby, ale łatwo było się domyślić, że były one znaczne. Próbowałem przymierzyć się do tego ze swoimi skromnymi środkami. Mieszkanie i wyżywienie miałem u córki bezpłatnie, a renta przekraczała moje skromne wydatki. Miałem dzięki temu trochę pieniędzy odłożonych na książeczce, ale nie było tego wiele. Byłem jednak dobrym myślicielem. Wydatki na siebie zredukuję do minimum. Aby tylko Idalia przyjęła moją pomoc, no i żeby nie zrozumiała jej niewłaściwie. Nie chciałem przecież niczego w zamian, całą moją satysfakcją miało być poczucie, że znowu jestem komuś potrzebny.

Po herbacie odciągnąłem na bok Jarka i umówiłem się z nim, że zabiorę

w tym potrójnym splocie przez jakiś czas, póki dziecku nie zdudził się bezbrach i nie odeszło do swoich zabawek. Idalia natomiast nie zmieniła pozycji.

— Pan sobie pomyśli, że jestem głupia — powiedziała — ale od wielu lat po raz pierwszy ktoś o mnie zadbał.

Niespodziewanie podniosła ku mnie swoją twarz i szybkim ruchem musnęła wargami moje usta. Było coś spontanicznego i naturalnego w tym pocałunku. O takim podziękowaniu nawet nie marzyłem. Biedne, zaginionie i skłopotane stworzenie poczuło się znów kobietą, świadomą swej młodości i urody. Bo tylko ta świadomość mogła podszepnąć ten sposób podziękowania. A ja? Mnie ubyto jakby w tym momencie lat, pocałunek Idalii przeznaczony był wyraźnie dla mężczyzny, nie dla starca. Nie, nie oznacza to, że czyn jej miał jakikolwiek podłoże erotyczne! Dopatrzywałem się w nim potwierdzenia swojej wartości, uznania owej męskiej,

„UNITA” — RZYM

W rejonie Tanien, około 40 km na północny wschód do Sajgonu, wojsko- wy śmigłowiec sajskońskich sił powietrz- nych dokonał nalotu na kościół kato- licki, w którym znajdował się w tym czasie tłum wiernych. Władze sajskoń- skie poinformowały, że nalotu dokonano „przez pomyłkę”. Według oficjal- nych danych 9 osób zginęło, 60 odnio- sło rany. Akcja ta jest typowa dla sajskońskich operacji „pacyfikacyjnych”. W rejonie Bienhoa, gdzie dokonano te- go przestępstwa, wojska sajskońskie prowadzą działania bojowe, usiłując wtargnąć do strefy kontrolowanej przez siły Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Republiki Południowego Wietnamu. Nie dziwnego, że podobne działania sajskońskiej soldateski natrafiają na zdecydowany odpór sił zbrojnych Na- rodowego Frontu Wyzwolenia. Z ko- munikatu TRR RPW wynika, że w wy- niku nalotów lotnictwa sajskońskiego w samym tylko rejonie Loknien zginęło 300 osób, głównie kobiet, dzieci i star- ców.

„IMPACT” — BRUKSELA

Tagliatti, były prowincjonalne cen- trum ZSRR, przekształciło się w wiel- kie współczesne miasto z zakładami przemysłowymi i domami mieszkalny- mi. Uderzają szerokie arterie komuni- kacyjne i rozległe tereny zielone. Nie zapomniano także o stworzeniu ludziom pracy dobrych warunków odpoczynku: działają dziesiątki kin, kluby, domy kultury, ogromna sala koncertowa, pa- lace sportowe, bezpłatne biblioteki pub- liczne. 21 grudnia 1973 roku był dla mieszkańców Tagliatti datą historyczną: z tamtych szedł milionowy „Ziulii”. Samochodu nie przekazano do sprze- dania, lecz zajął on miejsce w muzeum radzieckiego przemysłu samochodowego. Tego roku pracują już na pełnych ob- rotach trzy przenośniki tasmowe. Hale fabryczne są doskonale wentylowane, panuje wspaniała czystość. Toalety, przy- szeznie, kuchnie, siłownie — odpowia- dają najwyższemu wymogom. Pracownikom stworzono doskonałe warunki pracy. Tak, samochody produkuje się na ta- smach. Ale nie jest to tradycyjna, ote- pająca i wyczerpująca praca tasmowa, w której robotnik dzień w dzień i rok w rok wykonuje jedną i tę samą pry- mitywną operację. Tutaj każdy robot- nik, czy robotnica, pracuje w zespole, który jest kolektywnym w pełnym teo- rytycznym znaczeniu. Każdy może wyko- nywać i wykonywać, wszystkie operacje cyklu. Jeśli z początku wydajność pra- cy nieco spadła z tego powodu, to dziś straty te odzyskano z nadwyżką. Pomijając nawet ogromne społeczne zna- czenie pracy w kolektywie, ten system pracy pozwolił na zwiększenie efek- tywności produkcji, ponieważ umożliwia wykonywać każdą operację robotnicy, jeśli zajdzie potrzeba, mogą się wz-ajemnie zastępować.

„USERSER ZEIT” — DUESSELDORF

Z każdym rokiem zwiększa się róż- nica w wynagrodzeniu zachodnio- niemieckich kobiet i mężczyzn, wykonu- jących tę samą pracę. W ubiegłym roku robotnica zatrudniona w przedsiębior- stwie przemysłowym otrzymywała za jedną godzinę pracy, średnio, o 30 proc. mniejsze wynagrodzenie, niż jej kolega. Spośród lat temu różnica ta wynosiła 18 proc. W najlepszym położeniu zna- chodzą się kobiety pracujące w sferze handlu, w instytucjach kredytowych, ubezpieczeniowych i innych. Robi temu otrzymywały one „posażenia” niższe o 37 proc. od uposażeń urzędników — mężczyzn.

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Zwiększająca się w ostatnich latach imigracja do Hongkongu wzbudza duży niepokój w tej kolonii brytyjskiej, któ- ra zamieszkuje już około 4 i pół milio- na ludzi. W ubiegłym roku przybyło do Hongkongu 70.000 imigrantów, w tej liczbie 55.659 osób z Chin, w porówna- niu z 20.355 w 1972 roku i 2.530 w 1971 roku. Zanotowano 21.758 wypadków nielegalnej imigracji, przede wszystkim z Chin. Liczba ta wzrosła o 26 proc. w porównaniu z liczbą z roku 1972.

„FRANKFURTER ALGEMEINE” — FRANKFURT N/M.

Rozmowy między kanclerzem fede- ralnym RFN i prezydentem Giscardem d'Estaing były ukierunkowane głównie na koordynację posunięć ekonomicz- nych obu stron, niezbędnych w walce z inflacją i zlikwidowaniem deficytu w bilansach płatniczych. Deficyt bilan- su handlowego Francji wobec RFN w pierwszym półroczu tego roku wyniósł 6,1 miliarda franków, a ogólny deficyt wyraża się liczbą 11,5 miliarda franków. Wynika z tego, iż objętość zachodnio- niemieckiego eksportu odgrywa we Francji bynajmniej nie ostatnią rolę w wytrwaniu z równowagi francuskiego handlu zagranicznego.

„NEW YORK TIMES” — NOWY YORK

W USA przestępczość wśród dziec- iąt w wieku 13—19 lat gwałtownie wzrosła. Pod względem liczby oszustw, kradzieży w sklepach, awantur i zaży- wania narkotyków dziewczęta zrówna- niały się już z „plecia silna”. Te wnioski Instytutu Badania Problemów Młodzie- ży sformułowane na podstawie badań przeprowadzonych w stanie Illinois, po- krywały się z ostatnimi danymi FBI o wzroście przestępczości w USA.

J. C.

● 1 września br. związek chillijskich emigrantów w argentyńskim mieście Mendoza poinformował, iż jeden z głównych przywódców junty, gen. Ardeliano Stark wydal osobiście rozkaz rozstrzelania dalszych 75 więź- niów politycznych...

● Agencja Reutersa donosi z San- tiago, że 1 września 73 członków za- kazanej Socjalistycznej Partii Chile postawiono przed sądem wojskowym w mieście Linares, 275 km na połud- nie od stolicy. Prokurator zażądał czterech wyroków śmierci...

● 2 września br. w mieście Punta Arenas, na południu kraju, gen. Au- gusto Lutz wydal rozkaz maksymal- nego przyspieszenia procesów sądo- wych...

● Przewodniczący Komisji Praw Człowieka w Organizacji Krajów Amerykańskich, Justino Jimenez de Arechaga, po powrocie z Montevideo do Urugwaju poinformował prasę, iż 222 zwolenników rządu prezydenta Allende zostało rozstrzelanych bez są- du, a około 9.000 ludzi rozstrzelano w pierwszych dniach przewrotu...

Tych kilka informacji to zaledwie kropla w morzu wstrząsających do- niesień z Chile, które w ostatnich kil- ku dniach września br. przedostały się na łamy prasy światowej.

2.

Pierwsze, co rzuca się w oczy w tym uwięzionym kraju — to wojsko. Żołnierze są wszędzie. Uzbrojeni w karabiny automatyczne stoją w hal- ach hoteli, w bramach domów, w wejściach do urzędów i fabryk. W każdym banku, na poczcie, w biurze kompanii ubezpieczeniowej stoi żoł- nierz z karabinem. Nie można zrobić kroku, żeby się nie natknąć na wymierzony karabin czy pistolet. Amba- sady także otoczone wojskiem.

Juncie już od samego początku przyswierał cel sterroryzowania narodu chilijskiego aresztowaniami, tor- turami i rozstrzeliwaniem najwybit- niejszych działaczy Frontu Jedności Narodowej. Teraz generalowie likwi- dują mniej znanych działaczy polity- cznych na prowincji. Robią to bez hałasu: nocą rozlega się pukanie do drzwi, ludzie aresztują się „w celu przesłuchania”, a później ginie po nich wszelki ślad.

Junta usiłuje zawiść ruch związa- kowy. Związki zawodowe, działające podczas rządów Jedności Narodowej, zostały rozgromione, na ich konta na-łożono areszt, zakazano zbierania skła- dek członkowskich. Ludzi przyłapa- nych na zbieraniu środków pienięż- nych na cele związkowe oskarża się o zamach stanu, a to oznacza śmierć. Nawet interesowanie się działalnością związkową czy polityczną jest bardzo niebezpieczne.

Bytowa sytuacja mas pracujących w Chile pogarsza się z każdym dnem z powodu zamrożenia płac i szaleją- cej inflacji.

Członkowie delegacji postępowych amerykańskich działaczy Związku Elektryków USA, po powrocie z Chi- le w pierwszych dniach września br., zamieścili swe wrażenia na łamach chicagowskiej gazety związkowej „Labour Today”.

Oto wyjątki z tej publikacji: „Opowiedziano nam o wydarzeniu, które miało miejsce na budowie me-

tra w Santiago, 80 robotników ogło- siło strajk, żądając podwyższenia zarob- ków. Gdy przedstawiciele junty ka- zali podać nazwiska przywódców strajku — 80 robotników podniosło ręce. Wszystkich rozstrzelano.

Któregoś dnia przedstawiciele jun- ty pojawili się w warsztatach remon- towych w pewnej miejscowości na południe od Santiago, wybrali spośród załogi pierwszych z brzegu jedenastu ludzi, wyprowadzili ich na podwórko

sądów cywilnych. Wyroki feruje wojs- ko. Zazwyczaj karę wymierza się stosownie do popełnionej winy. Ale junta sądzi inaczej: najpierw decydu- je, z którym człowiekiem trzeba się rozprawić i dopiero potem szuka po- wodu do aresztowania. Później czło- wieka katują i następnie skazują na śmierć.

Wśród robotników rośnie niezado- wolenie. Od czasu przewrotu koszty utrzymania wzrosły piętnastokrotnie.

Istnieje nie znana przedtem, Organi- zacja Zbrojnego Oporu. Zaostrzyli się stosunki między jun- tą a jej najbliższym sojusznikiem i pomocnikiem: Partią Chrześcijańsko- Demokratyczną.

Chilijska warstwa średnia, która z takim entuzjazmem powitała wojsko- wy przewrót w dniu 11 września ub. roku, rozczarowała się bardzo szybko, sytuacja ekonomiczna kraju nie tylko nie uległa poprawie, ale zaczęła się szybko pogarszać. Dla warstw posia- dających i uprzywilejowanych powró- dził automatycznie koniunktura. Ale nie spełniły się te nadzieje: ceny na niektóre towary wzrosły o dwa tysiące procent, a produkcja przemysłowa kil- krotnie zmalała.

Junta środkami dyktatury dąwi wszelką opozycję, nie daje sobie rady ani z ogromnym chaosem ekonomicz- nym, który sama stworzyła, ani z gi- gantycznym wzrostem cen. Ostatnio podjęła rozpaczliwą decyzję sprzedaży akcji przedsiębiorstw sektora pań- stwowego, mając nadzieję, iż w ten sposób zdobędzie zagraniczną walutę, której brak — mimo pomocy USA — odczuwa bardzo dotkliwie.

W początkach lipca br. utworzono w Santiago tzw. „nowy rząd”, zgodnie z oficjalną wersją: „w celu polepszenia sytuacji ekonomicznej”. Oczy- wiście nie ma on szans, żeby okazał się bardziej sprawnym niż poprzedni. Próba ta wskazuje jednak, iż war- stwy społeczne, które we wrześniu ub. roku fetowały zwycięstwo junty niepełnie jeszcze rozstały się ze swymi marzeniami. Niemniej, już roz- czarowane, wkroczyły w smugę kosza- maru, znaczonego wszystkimi odcienia- mi furii, represji i krwawego terroru. Zresztą nawet chilijscy burżuje nie wierzą już w umiejętności junty kie- rowania skomplikowanym aparatem władzy państwowej. Chilijscy gene- raliowie — czytamy w „Le Monde Diplomatique” — sami dzieł przynają, że nie byli przygotowani do objęcia władzy...

To prawda. Jak mogli być przygo- towani, skoro już dwa lata temu, więc rok przed puczem, zachęcali się „wiedzą” peruwiańskich wojskowych w zakresie problemów ekonomicz- nych i społecznych i uznali, iż porów- nywanie z peruwiańskimi generalami nie wypada na ich korzyść. Istotnie, jedyną umiejętnością w zakresie „nauk społecznych”, jaką wynieśli ze szkoły wojskowej, jest biegłość w „za- bezpieczeniu porządku publicznego” i tłumieniu ruchów wolnościowych. A jeśli nawet są wśród nich dobrzy spe- cjaliści z zakresu spraw wojskowo- inżynierskich czy łączności radiowej, to w sferze wypracowania jakiej- kolwiek myśli politycznej lub ekono- micznej nie odgrywają w ogóle żad- nej roli.

Chilijscy pułkownicy i generalowie są nadal narzędziem w rękach wiel- kiej burżuazji, która — dążąc do za- hamowania demokratycznych prze-obrażeń odpowiadających interesom ludzi pracy — nie waha się prze- iść od zbrojnego przewrotu do ustanowie- nia w Chile faszystowskiej dyktatury.

JERZY CZECH

CHILE

ROK KRWAWYCH RZĄDÓW JUNTY

i rozstrzelali na oczach pozostałych.

Z pracy zwolniono około 150.000 ro- botników. Zgodnie z zarządzeniem junty wszystkich robotników uważa się za pracujących tymczasowo. Wła- ścielom zakładów pracy daje to pra- wo do zwalniania pracowników bez wypowiedzenia. Zwolnieni nie mogą otrzymać innej pracy, a wszystkie przedsiębiorstwa są zobowiązane do składania juncie szczegółowych sprzo- wozdań. Nazwiska nowo przyjmowa- nych konfrontuje się ze spisami jun- ty. Figurujący na „czarnej liście” nig- dzie nie otrzyma pracy. Z zimną krwią prowadzi się w kraju bezlitos- ną politykę, skazującą na śmierć gło- dową ludzi inaczej myślących niż jun- ta.

Na naszą prośbę pozwolono nam obejrzeć jedno z więzień. Przypu- szczaliśmy, że zaprowadzą nas do „wzorołowego” więzienia. Ale oto co ujrzeliśmy: „Estadio Chile” — salę do gry w koszykówkę, z miejscami dla widzów, a w niej 223 więźniów. Miejs- ca do spaceru nie ma, słonce tu nie przenika. Warunki fatalne. Jednak więźniowie, z którymi rozmawialiśmy, opowiadali, że uważają je za rajskie w porównaniu z warunkami w innych więzieniach i że przysłała się tutaj lu- dzi „na odprężenie” po „przesłucha- niach”.

A jak odbywa się przesłuchanie? Oprawy umieszczają elektrody na ciele stwch ofiar, wyrywają kleszczami paznokcie, stosując także wiele in- nych podobnych „metod przekonywa- nia”.

W Chile nie ma dziś w ogóle żadnej władzy cywilnej. Junta ogłosiła stan wojny wewnętrznej, innymi słowy — wojny przeciwko narodowi chilijskie- mu. A dopóki trwa ta wojna, nie ma

Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna znalazła się w trudnym położeniu. Jej członkowie są najbardziej przestrza- szonymi ludźmi w Chile i chyba ma- ją ku temu dostateczne powody. Z jednej strony są izolowani od robotni- ków, z drugiej nie ufają im junta.

Junta jest bardzo zaniepokojona międzynarodową solidarnością z naro- dem Chile. Przywódcy chilijskich związkówców są głęboko wdzięczni międzynarodowemu ruchowi robotni- czemu za poparcie, solidarność i pom- oc”.

3.

Rok dyktatury faszystowskiej junty jest jedną z najtragiczniejszych kart w historii chilijskiego narodu. W kra- ju panuje straszliwy terror, ponad 30.000 ludzi rozstrzelano lub zamęzo- no na śmierć. Tysiące chilijskich pa- triotów zapelnia więzienia i obozy koncentracyjne. Budzi podziw i szacunek hart ducha narodu chilijskiego, który mimo niesłychanych represji z każdym dniem rozszerza walkę prze- ciwko zleniwionemu reżimowi. Niedawno strajkowali robotnicy prze- mysłu meblowego w Santiago, pra- cownicy portowego miasta Iquique, robotnicy rolni majątków „Los — Ho- gales”, „Santo-Domingo” i innych. Działające w konspiracji partie Fron- tu Jedności Narodowej kolportują an- tyfaszystowskie broszury, gazety i ulotki, rozszerza się i raczna działac- ogólnonarodowy front antyfaszystow- ski.

Reżim Pinocheta nie może już dziś pomijać milczeniem rosnącego się w kraju zbrojnego ruchu oporu. W pierwszych dniach września br. wła- dze policyjne przyznały, że w kraju

X KONIEC EPOKI HAILE SELASSIE X REBELIA, KTÓRA ALARMUJE X ŚWIAT PRZECIWKO JUNCIE

W przeglądzie wiadomości tygodnia piszemy czasem o mniejszym wyda- rzeniu, przypuszczając, że może ono mieć swój dalszy ciąg. Tak było z in- formacją o ograniczeniach władzy ce- sarza Etiopii, która przed kilku tygo- dniami znalazła się w komentowa- nych przez nas aktualnościach. Nie musi- liśmy zbyt długo czekać na potwier- dzenie, iż: ważny był to wówczas fakt. Oto agencja doniosła, że ogłoszo- no dekret Komitetu Koordynacyjne- go sił zbrojnych, policji i armii ter- rytorialnej o detronizacji cesarza Haile Selassie. Rozwiązano też obie izby parlamentu, zawieszono konstytucję oraz zapowiedziano przeprowadzenie demokratycznych wyborów.

Znamienne, że za powód przyspie- szenia detronizacji uznano odmowę cesarza wycofania z banków zagranic- znych zdeponowanych tam kapita- łów. W tym czasie, co można uznać za formę oskarżenia cesarza, telewizja etiopska nadała dokumentalny film o głodowej śmierci tysięcy ludzi w re- jonach wieloletniej suszy, przerywają- go wstawkami o przyjęciach, organi- zowanych przez Haile Selassie. W ten sposób uzasadniono detronizację. Jednocześnie wspomniany Komitet zadeklarował równość wszystkich o- bywateli, zniesienie podziałów religij- nych, przeprowadzenie reformy rolnej, reformę sądownictwa i podjęcie o- chrony zdrowia w systemie państw- wym. AFP taki program wewnętrzny

określiła słowami: „nacionalizm i de- mokratcja — to dwa tematy etiopskiej rewolucji”.

Komitet Wojskowy zwięźle określił także swe kierunki w polityce zagra- nicznej, akcentując przede wszystkim niezangażowanie oraz dobre stosunki z wszystkimi krajami afrykańskimi.

Nie wdając się w snucie domysłów, jak potoczyć się mogą dalsze wydarze- nia, na pewno można stwierdzić ko- niec epoki Haile Selassie, jednego z najdłuższych panujących władców. Trze- ba bowiem przypomnieć, że w 1916 roku objął on rządy jako regent, a w 1930 roku ogłosił się cesarzem. Jest to niewątpliwie również koniec struk- tur półfeudalnych, panujących dotąd w Etiopii.

Oceniając ostatnie wydarzenia nie można nie podkreślić, strategicznego położenia Etiopii. Jedną z jej prowinc- ji ma 800-kilometrową linię brzego- wą Morza Czerwonego. Wobec per- spektyw otwarcia Kanalu Sueskiego i zapoczątkowanej już walki o wpływ i kontrolę nad tym międzynarodowym szlakiem żaglowym — rewolucja etiopska ma dodatkowe znaczenie.

• • •

Po Gwinei-Bissau także Mozambik wkrocza na drogę samodzielnego bytu

narodowego. Upoważnia do takiej o- ceny podpisane właśnie porozumienie o utworzeniu rządu tymczasowego z udziałem przedstawicieli organizacji wyzwolenczej FRELIMO. Ale u progu tej historycznej daty prawica blisko 200-tysięcznej białej mniejszości w tym kraju zorganizowała rebelię. Sy- tuację opanowaną, lecz na owe wydar- zenie trzeba spojrzeć szerzej. Był to przecież przejaw aktywizacji sił wstecznych, których nie brakuje tak- że w samej Portugalii. Z pewnością będą one przypuszczały jeszcze wiele ataków, mając na uwadze wybory, których termin wyznaczono na mar- rzec 1975 roku. Trudno wykluczyć, że reakcja sięgnie po broń, do której od- wolała się prawica chilijska, dezorga- nizując życie gospodarcze kraju i sie- jąc terror.

• • •

Wspomnieliśmy o Chile. Właśnie minęła niesławna rocznica puczu wojs- kowego, a także śmierci prezydenta Allende.

Rok, jaki minął od tych krwawych wydarzeń był rokiem egzekucji, pro- cesów, więzień i innych represji dla patriotów chilijskich. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak głęboka jest nie- wiarę junty wojskowej do wszystkie- go, co postępuje. Chile stało się pań- stwem policyjnym, w którym terror i upodełnienie awansowały do rangi czynników sprawowania władzy. Re- zultatem takiego działania jest 50—100 tysięcy zabitych i tych, którzy zgineli bez wieści, taką należycie liczbą wymienia się na łamach prasy świa- towej. Trzeba bowiem powiedzieć, że hodał nigdy jeszcze nie było na świe- cie tak szerokiego ruchu solidarnoś-

ciowego jak przeciwko poczynaniom junty chilijskiej. Wykazał to Tydzień Międzynarodowej Solidarności z Chi- le zakończony 11 września. Demon- stracje, ujawniania zbrodni wojsko- wych oraz aktywność komitetów wsparcia patriotów chilijskich są tego najlepszym przykładem.

Zyjemy w czasach, w których dla zb odni przeciwko ludzkości nie ma przedawnienia, a historia uczy, że krwawe reżimy mają zawsze swój ża- losny koniec.

• • •

Skupiamy dzisiaj uwagę czytelnik- ków na wydarzeniach, rozgrywają- cych się głównie poza naszym konty- nentem. Chcielibyśmy więc kilkanaś- cie słów komentarz poświęcić wzy- cie premiera rządu Izraelskiego w Waszyngtonie. Była to wizyta, której cel kairski dziennik „Al Abram” na- zwał „zabieganiem o swobodę mane- wru”. Po prostu w Tel Awiwie wzmagają się niepokoje z powodu pew- nych zmian w amerykańskiej polityce wobec Izraela, który już mniej jedno-znacznie popierany jest przez Wa- szyngton. Te tendencje Rabin zamie- rzał zahamować swoją wizytą. Czy mu się udało? Sądząc z przebiegu roz- mowy — nie. Nowy szef Stanów Zje- dnoczonych złożył wprawdzie obietni- cę dalszej pomocy w sprawie wojsko- wym, ale jednocześnie podkreślił mocno potrzebę pokojowych rozwią- zań na Bliskim Wschodzie. Nie ma więc izraelski premier zbyt wiele po- wodów do zadowolenia ze swej misji.

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Kiedy już się zakończył sezon festiwalu, kiedy okazało się, po raz nie wiem który, że śpiewających mamy w Polsce mrowie, doszedłem do wniosku, że brak nam jeszcze lednego festiwalu.

Brak nam Festiwalu Felietonu. Jak dobrze policzyć, to felietonistów jest w Polsce prawie tyle, co piosenkarzy. Pomysł zresztą nie mój, tylko doc. dr Andrzeja Feliksa G. — znanego historyka, który w tajemnicy przed rodziną i władzami PAN uprawia felietonistykę na łamach „Odgłosów”. Niedługo zresztą ukaże się jego nowy longplay, przesyłam, książka — gdzie znajdują się ostatnie przeboje historyczne.

Wyobraźmy więc sobie, że w lipcu w Międzyzdrojach organizujemy Festiwal Felietonu. Można zresztą zorganizować dwa. Jeden — wiosną w Zakopanem. Ogólnopolski Festiwal Felietonu — drugi w lipcu nad morzem, Międzynarodowy Festiwal Felietonu.

W pierwszym startowałyby felietoniści reprezentujący cztery województwa, w drugim — przedstawiciele gazet światowych. Mogłyby startować na początku „De Furche” z Austrii, „El Mudżakid” z Algierii, „Le Soir” z Belgii, „O Glob” z Brazylii, „Kansan Uitiset” z Finlandii... I tak dalej, aż do ostatniej litery al-

FESTIWAL FELIETONU

fabetu. Jako gwiazdę Festiwalu można by poprosić o udział poza konkursem na przykład Artę Buchwaldę.

Już sobie wyobrażam te eliminacje i rozgrywki o wejście do reprezentacji polskiej na Międzynarodowy Festiwal. Komitet Organizacyjny miałby nie lada problem. KTT, na przykład, nagrali sporo longplayów i „złota płyta” ma w kieszeni, ale za to W. M. z „Życia Literackiego” śpiewa o wiele słuszej. Młodzieżowe wytwórnie reprezentowałyby zapewne felietonista „Walki Miodych”, którego nazwisko wyleciało mi z głowy ale za to śpiewa on bardzo głośno i najczęściej songi. Urban może by wystąpił w ramach koncertów dla towarzyszących, ale raczej gdzieś na małej sali i późnym wieczorem.

Na molo w Międzyzdrojach należałoby zorganizować kiermasz felietonów wydanych w książkach. Oczywiście producenci zagraniczni nie sprzedawaliby swoich publikacji, tylko je pokazywały chętnym — za drobną zresztą opłatą.

W ramach Międzynarodowego Festiwalu Felietonu wystąpiłoby zwycięzca Festiwalu Ogólnopolskiego. Rzecz prosta, poza konkursem i nie transmitowany przez telewizję. A ponieważ

nie sposób wyobrazić sobie jakikolwiek Festiwal bez Ireny Jarockiej, ona wystąpiłaby również, dzieląc nagrodę publiczności z Andrzejem Wróblewskim z „Życia Warszawy”.

Kłopot jest tylko z „Dniem Polskim”. Byłoby zapewne dość trudno skłonić felietonistów zagranicznych, aby podejmowali nasze tematy, na przykład, że kelnerzy biją, taksówkarze nie chcą jeździć, a w pralniach nie przyjmują brudnej odzieży... Ale ostatecznie możemy tolerować tematy ogólnoludzkie: trójką małżeńską, kryzys paliwowy i ochrona naturalnego środowiska.

W ten sposób ogólne ramy Festiwalu Felietonu mamy zakreślone. Prasa, oczywiście, zapewniła. Na Festiwalu Piosenek przyjeżdża przeciętnie 150 dziennikarzy, na Festiwal Felietonu — zapewne dwa razy tyle. Sprawozdawcy wystukiwać będą na dalekopisach relacje dla swoich gazet: „Hector Comporra” z wenezuelskiej „Laz Vos de Caracas” już jako dziecko pasjonował się pisaniem felietonów do szkolnej gazetki. Na festiwalowej estradzie porwał publiczność brawurowo wykonanym felietonem o marnotrawieniu materiałów pędnych na stacjach beuzynowych stanu Carabobo”. Inny sprawozdaw-

ca z terenu będzie znów pisał: „Nie zachwycił nas reprezentant Polski, Stanisław Grzelecki z „Życia Warszawy”, który wykonał swój felieton w stylu zbyt napuszonym i pozbawionym lekkości...”

Cała Polska będzie się pasjonować nowym, całkowicie oryginalnym festiwalem, jakiego nie zna Cannes, Las Vegas i San Sebastian.

Pozostaje jeszcze sprawa telewizji. Transmisje odbywać się będą z posłizgiem z przyczyn zrozumiałych. Rzecz prosta zrozumiałych technicznie. Myślę, że 120 minut wystarczy. Przeciętnie rozgarnięty telewizyjny i tak się nie orientuje, czy to koncert piosenkarzy czy felietonistów, jako że już od dawna transmisji festiwalowych się nie słucha, tylko je ogląda nie przerywając snu.

Reasumując — sprawa wydaje mi się warta przemyślenia. Niewykluczone, że Festiwal Felietonu może się okazać koszmarnie nudną chałwą, ale ostatecznie nie jest to zbyt poważny powód, aby z imprezy zrezygnować. Jeśli natomiast organizatorem Festiwalu zostaną na przykład Kapielińska Morskie — być może deficyt nie będzie zbyt duży.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



Najczęściej spotykane kolory OKA OPATRZNOŚCI:

1. Light green (podobno fałszywe)
2. Blue
3. Primrose
4. Red (ostwald)
5. Cobalt blue
6. Carmine (niecodzienny)
7. Sea green
8. Ultramarine (dla kolekcjonerów)
9. i Poster red

LEWYM OKIEM

MRÓWKI W CZEKOLADZIE

W jednym z tygodników czytamy o „gigantycznej inwazji mrówek faraona” na fabrykę czekolady w Świebodzicach. Musiano ponoć zamknąć fabrykę na miesiąc, żeby powojować z mrówkami i dać im należyty odpór.

W paru pismach czytaliśmy też o pladze komarów, jaka nawiedziła w tym roku najpiękną Wybrzeże, potem Rzeszowszczyznę, gdzie podobno musiano parę osób włączyć do szpitala, tak były pokąsane. A co powiedzieć o mszycach, które moim przyjaciółcom w Łodzi, rozmiłowanym w swych ogródkach działkowych, zjadły latos wczesny szpinak i kruchą sałatę? Co sądzić o osach, które w Łądku Zdroju nie pozwalały mi na żadnej ławce posiedzieć choćby pięć minut? Wprawdzie ławek w Łądku niedużo, a te co są nie nadają się do wysychaniem pomiędzy jednym deszczem a drugim, ale przecież nawet na mokrej ławce chciałoby się przeczytać na przykład „Politykę”, na przykład felieton Plużańskiego, na przykład o... muchach...

Co się nagle stało, czyżby zbliżała się epoka owadzia? Już to gdzieś czytałem, że najbardziej uodpornione na promienie jądrowe są karaluchy i że to one mają świetlaną przyszłość przed sobą. Może to już? Może zaczyna się od mrówek, komarów i mszyc, potem ruszą świerszcze i szczy-pawki, potem na miasta spadnie chmura chrabaszczy i co? Czy znajdzie się nowy Hitchcock z nowym dreszczowcem, podobnym do tamtego o ptakach?

Plużański podaje radykalną broń przeciw muchom: młynki. W każdej kuchni, przy każdym zlewozmywaku młynek, który zmiele drobniutko wszelkie odpadki, żeby sobie spłynęły do kanalizacji. Dzięki temu nie będzie odpadków muchotwórczych w śmietnikach, które — jak wiadomo — czekają nieraz dość długo na wywiezienie zgodnie z harmonogramem odnośnych instytucji. Oczywiście to jest poważna sprawa i wcale nie ironizuję, ale wiem, że nie dożyję tych młynków. Żeby się chociaż ów harmonogram poprawił, żeby choć to własnymi zobaczył oczyma!

Tymczasem dajmy spokój wrednym muchom i zwróćmy wzrok ku gwiazdom, od których przecież i tak wszystko zależy. Oto w tej samej „Polityce” artykuł o udowodnionych związkach losów ludzkich z gwiazdami, pod jaką się na ten świat przyszło. O jakiejś tam porze wschodzą na przykład Saturn i po paru godzinach osiąga swój zenit, o czym wiedzą i co są w stanie zauważyć tylko specjaliści w wielkich obserwatoriach. Ale to nieprawda. Zauważają to również embriony w łonach matek i dobiegają się do wyjścia. Te, które się w ciągu otych paru godzin urodzą, zostają lekarzami, żeby tam nie wiem co. Udowodniono statystycznie, czarno na białym!

Trochę tu cały wywód uprościłem i zwulgaryzowałem, ale przecież jego sens, podany najpoważniej w świecie, był właśnie taki: określony układ gwiazd w momencie narodzin człowieka kształtuje nie tylko jego charakter, lecz także „styl bycia”, co z kolei przesądza o wyborze zawodu, a zapewne także o wyborze małżonki, wysokości zarobków, podróży wiosną i zazdrośnym bruniecie wieczorową porą. Wszystko za sprawą promieni, które ostatnio nadają się do wszystkiego, bo są niezbadane.

Ciekawe, jak działają te same promienie na inne organizmy, powiedzmy na słonie. Czy słon urodzony pod znakiem Saturna też ma skłonność do medycyny? I dlaczego mówimy akurat o Saturnie, kiedy jednocześnie z nim wschodzą, zachodzą, pękają i szaleją miliardy Miecznych Drog i nie stoi na przeszkodzie uznać, że każda z nich interesuje się kijanką ludzką płci męskiej, chcąc się urodzić w drugiej odcynie na prawo przy ulicy Krzywej w Rypalkowie?

No, ale wiemy przynajmniej, skąd te mrówki w czekoladzie: to zadziały promienie odnośnych gwiazd. Nie wiemy tylko, jakie promienie. Ale się dowiemy, nauka przecież robi postępy.

ĆWIEK

METODY

Zdaniem niektórych felietonistów, obowiązkowo, po powrocie z wakacji należy powiadomić PT Czytelników, gdzie się je spędzało i co się robiło. Na przykład MFR z „Polityki” donosił Czytelnikom, że „odbywając zagwarantowane Kodeksem Pracy wakacje w mazurskiej guszy, czas wypelniony deszczem” przeznaczył na czytanie swego ulubionego pisma „Polityki”, a tam znalazł dwa felietony, które go — MFR znaczy — zmusiły do „sięgnięcia po pióro”. Co z tego wynikało mogli sobie Czytelnicy przeczytać w dwu kolejnych numerach pisma, które MFR lubi najbardziej.

Ten wstęp proszę jednak potraktować jako dygresję, gdyż nie będę się zwierzał, gdzie byłem i co robiłem, bowiem uznaję zasadę, że nie ważne jest, gdzie się było, ale co się widziało i jakie wnioski się z tego wyciągnęło. Widziałem różne rzeczy, ale opisywać tego nie będę, bo by miejsca nie starczyło, a wnioski wyciągnęłam różne i nimi się chciałbym podzielić. Lud polski bowiem świadomy jest niezwykłe, a że wiadomo iż zamieszkuje on rejony kraju zwane wsią, więc nie widzę powodu, aby metody stosowane na szczeblu gminy nie spopularyzować również w mieście, bądź co bądź podwójnie wojewódzkim.

Metodę pierwszą zastosowali strażacy, ochotnicy zresztą, dla których gaszenie pożarów jest nie tyle pożytecznym hobby, ile koniecznością, bo ktoś to w końcu musi robić, aby rolnicy dobytek był bezpieczny. Ale te strażacy ochotnicy mają ambicje. I służenie. Każdy oddział OSP chciałby być tym najlep-

szym w powiecie, a jeśli nie, to przynajmniej w gminie. Kiedy tylko zdarza się okazja, robi ocenianie ćwiczenia, aby pokazać innym, jacy to oni są dobrzy strażacy.

Strażakom ochotnikom z miejscowości N. nadarzyła się właśnie okazja do pochwalenia się przed innymi. Przeprowadził ćwiczenia w nadziei, że wyjdą im dobrze, atoli wyszły znacznie gorzej niż się spodziewali. Gdyby ćwiczenia te oceniano w skali od 2 do 5, to strażakom z N. trzeba by było postawić dwójkę. Ale komendant strazy w N. był optymistą z przekonaniem i po „długich rozważaniach w gronie druhów i kumpi” doszedł do wniosku, że choć tym razem było źle, to następnym będzie dobrze, a zatem nie można w sprawozdaniu do gminy napisać, że ćwiczenia wypadły niedostatecznie. Napisał, że wznadził mniej niż dostatecznie. Niby to samo, a przecież nie to samo.

W gminie natomiast popatrzyli na sprawozdanie również z optymizmem i doszli do wniosku, że jeśli mniej niż dostatecznie, to tylko przez skromność komendanta, a zatem straż ochotnicza przeciwpożarowa w N. wykonała swoje ćwiczenia lepiej niż dostatecznie. W powiecie sprawozdanie gminy przeczytali z całą przyjemnością. — Popatrzcie — powiedzieli — jakie mamy dobre oddziały w terenie, tylko ludzie tam skromni. I napisali, że ćwiczenia w N. odbyły się na poziomie dobrym.

W województwie bardzo cieszyli się z oceny powiatu. — Mamy zupełnie dobre oddziały — krzyczeli — co tam zresztą dobre, one są bardzo dobre! I

w sprawozdaniu do najwyższych władz gminnych w stolicy poszło sprawozdanie, że oddział w N. przeprowadził ćwiczenia na poziomie celującym. W stolicy bardzo się cieszyli z tej opinii, bo akurat mieli gości z zagranicy i chcieli im pokazać najlepszy oddział w terenie. Ale w stolicy na szczęście jeden działacz strażacki ochotniczy był z natury pesymistą i poradził, aby najpierw dobrze sprawdzić. Wyjechała więc do N. specjalna komisja. W N. zapanował popłoch. — Dlaczego do nas? — krzyczał w miejscowej gospodzie komendant. — Przecież my nie byliśmy najlepszy. Przecież nie, byliśmy najgorszy. Mówię to wam otwarcie — bił się w pierś komendant.

Kiedy opowiadałem te historyjki memu przyjacielowi, chwalał, że jest to znakomita metoda i że wiele przedsiębiorstw i instytucji mają zwierzchników optymistów mogłoby znacznie podnieść swoje wyniki, przynajmniej w sprawozdaniach, ten — czyli mój przyjaciel — popatrzył na mnie krytycznie i powiedział: — O naiwny, myślisz, że Amerykę odkrył, przecież tak postępują już od lat różni cwaniacy w różnych działach sprawozdawcości.

Ja Ameryki nie odkryłem zatem, ale zetknąłem się z inną metodą, którą wymyślił mój wakacyjny znajomy, imieniem Grzegorz. Rzeczony Grzegorz wiać nad rzeką, którą łączy dwa znacznej wielkości jeziora. Jeziora są głębokie, a ryb w nich mrowie. Kupił Grzegorz sobie sieć, ryby łapał, a po połowie wieszal sieć na drzewach, które rosły na końcu łąki, tuż nad rzeką. Chodził później po polach, po lesie i po łące za swoimi gospodarskimi sprawami, a co szedł przez łąkę to zaglądał między drzewa, czy sieć

jeszcze wisi, czy jej jeszcze nie ukradli. Sieć wisiła, wysuszyła się już na pieprz niemal i nikt jej jakoś nie krał. Az pewnego dnia Grzegorz nie znalazł sieci na drzewach rozpiętej. — Stało się — powiedział tedy do siebie — ukradli ją łobuzy.

Historyjki tej nie opowiedziałem swemu przyjacielowi, aby nie usłyszeć od niego, że to też nic nowego, że tą metodą wiele przedsiębiorstw strzeże swego społecznego mienia.

Powróciwszy do rodzimiej redakcji stwierdziłem z przerażeniem, że nie zawsze dzieje się ciekawe rzeczy muszą dziać się gdzieś daleko, za siedmioma górami i siedmioma rzekami, że tu — w pokoju obok malarsz odnawiają nasze trzy pokoje z kuchnią i korytarzem już drugi tydzień, a złożywszy kurtozyczną wizytę w redakcji „Karuzeli” dowiedziałem się, że podobne działania odbywają się również u nich i że jeśli dziś trwa „zawzięta” praca w „Odgłosach” to w „Karuzeli” jest dzieki przerwy, a jutro będzie odwrotnie. I ogarnął mnie podziw dla odwagi malarzy. Wejść do „jaskini lwa”, partoląc w satyrycznym bądź co bądź piśmie, w tygodniku, w którym felietonistów „jak mrówek” i nie sobie z tego nie robić, to ho, ho, trzeba być odważnym jak same lwy. Ale przyjaciel mnie i tu sprawdził na ziemię.

— Marcinku — powiedział — oni po prostu nie czytają ani „Karuzeli” ani „Odgłosów”. Ja nie wiem, czy oni czasem czytają „Głos Robotniczy”, „Dziennik Łódzki” czy „Express Ilustrowany”. Przecież na stołach gazet leży bez liku, a ani jedna leśszce nie zginęła.

To prawda.

MARCIN RODAK

SPORT

Nie wyjaśnione do tej pory zmiany klimatyczne, jakie stały się udziałem naszego obszaru geograficznego, a które charakteryzują się bezustanną huśtawką nów i wyżów, przeniosły się również i do atmosfery panującej wokół sportu. Różnica polega tu tylko na tym, że wokół poszczególnych dyscyplin sportowych mamy albo bezwzględna euforie, albo denne zwątpienie. Jest to jednak różnica minimalna, bowiem na upartej można stan euforii przywrócić do wyżu, a stan zwątpienia całkowicie do niżu. I wszystko będzie jak w prognozach pogody.

Na długo przed mistrzostwami świata w piłce nożnej przeżywalimy stan bezwzględnej zwątpienia, prorokując, że nasi chłopcy przegrają nawet z Haiti. Później cała Polska znalazła się nag-

MIEDZY ZWĄTPIENIEM A EUFORIA

le w stanie pełnego upojenia i szczytu euforii, który kazał niektórym uwierzyć w to, że jesteśmy pierwszym narodem świata. Ale już we Wrocławiu, w czasie spotkania z reprezentacją Morską nasi bohaterzy chłopcy uczynili pierwszy wyłom i znów do niektórych serc zakradł się czerw zwątpienia i zaczął drażnić niezłym kornik babcina komode. Dziś nikt już nie patrzy tak optymistycznie w przyszłość naszej narodowej jedenastki, która przystąpiła przecież do eliminacji mistrzostw Europy. Wprawdzie — jak pamiętamy — mecz z Finlandią wygrała, ale w jakim — pożałuj Boże — stylu. I w jakim stylu grała później z reprezentacją NRD i Francji. Sprawozdawcy sportowi spirali się tylko o to, który mecz był gorszy. Oba były gorsze! Jakże są tego przyczyny?

Jest ich niewątpliwie sporo i podejrzewam, że nie są one obce władcom sportowym. Ja natomiast chciałabym zwrócić uwagę na przykład, jakim służą opinii publicznej nasi zwycięscy piłkarze. Otóż w lipcu opowiadali oni wszem wobec i każdemu z osobna, że ich sukces jest zasługą klubów, że mają następców, że to praca całego zjazdu ludzi podległych PZPN. Już we Wrocławiu, podczas spotkania z reprezentacją Moskwy, można było przekonać się, że z następcami nie jest najlepiej. Srebrna jedynastka rozplynęła się w ligowej orce i gdy znów zebrała się do kupy, szło wyszło z worka i kulo w oczy prawdą zupełnie inną od wczesniej głoszonych zapewnień. W klubach też nie jest najlepiej. W niektórych zagranicznych zespołach bywa prze-

cież i tak, że zawodnicy zjawiają się na boisku na pół godziny przed mistrzowskim meczem (a tak zdarzyło się nie tylko Finom) i grają zupełnie dobrze. I jest to niewątpliwą zasługą klubu, który dba o formę i przygotowanie zawodnika. U nas, gdy tylko nasi srebrni medalisci wypadli spod opieki trenera Kazimierza Górskiego, zupełnie zapomnieli o wszystkim, czego on ich nauczył. Zresztą ligowa orka też dowodzi, że mistrzowie albo są zmęczeni, albo sława zbyt uderzyła im do głowy. Wniosek stąd mimo wszystko ten sam — przy czyn kryzysów, w poszczególnych dyscyplinach sportu szukajmy w klubach. Ale o tym pisze się już od dość dawna. I co z tego?

BOGDA MADEJ



SMAK WIELKIEJ PRZYGODY

Krzysztof Baranowski na fwalnie zapisał się w historii światowego żeglarstwa. Jako jeden z nielicznych samotników miał odwagę rzucić wyzwanie najgroźniejszemu żywiołowi — morzu. Z tego nieśmiałego wyzwałoby się pojedynku wyszedł zwycięsko — małeńka łupinka „Poloneza” dzielnie przestawiła się szalejącym oceanom. Szczególnym powodem do chwały jest ponowne stynnych „życzących czterdziestki” oraz ośmiętnięcie oprzemionego dla — sława przyładka Horn.

Truizmem byłoby podkreślanie, że takiego wyczynu może dokonać jedynie ktoś o niezwykłym męstwie i harcie ducha, a przy tym wysmienity żeglarz. Wszakże i on nie jest tylko bohaterem ze spisu. Jest człowiekiem, który sprawił się w najtrudniejszej próbie — gdy niosącymi widział dokola jedynie bezkresny przestwór morza.

A przecież, jak sam pisze w swych wspomnieniach „Droga na Horn”. Zeglujemy ku wielkiej przygodzie tak zwyczajnie i niepozornie, że nie jestem pewien, czy się ona zaczęła, czy skończyła. Nieobecni nam były takie uczucia, jak tęsknota, czy nawet strach, powodujący że „widział” weza morskiego, czy czuł oddech nieznannej istoty, która wynurzyła się z morza i błyskawicznie w nim zniknęła.

Pasjonująca lektura. Wszakże miejscami niezrozumiała dla laika, gdy trafia się zdania naszpikowane: forpikim, bezaniem, moletem, kłiwrem czy apsem. Wyraźnie odczuwa się brak słownika terminów morskich.

Krzysztof Baranowski — „Droga na Horn”, Iskry 1974.

„SPÓR Z McLUHANEM”

Jonathan Miller jest angielskim reżyserem filmowym i telewizyjnym, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Londyńskiego. Książka jego stanowi polemikę z poglądami słynnego intelektualisty amerykańskiego Marshalla McLuhana. McLuhan uznany został na Zachodzie za „superarbitra” we wszystkich problemach dotyczących przyszłości, nowoczesności i nadechodzącej epoki środków elektronicznych. Swój niebywały rozgłos zyskał dzięki dziełom, w których udowodnił tezę, że wraz z epoką elektronicznych środków masowego przekazu a przede wszystkim wraz z telewizją, ludzkość wkracza w całkowicie nową erę rozwoju, która przyniesie odrodzenie tych wartości życia zbiorowego, jakie uległy zniszczeniu przez stulecia panowania kultury druku. Zdaniem McLuhana świat z sobą „ducha specjalizacji, utratę całościowej wizji świata i zagubienie istotnego poczucia zbiorowości na rzecz ewilizacyjnego indywidualizmu”. „Epoka środków elektronicznych, która nadejdzie, prowadzi nas znów w stronę wspólnoty w sensie „Globalnej wioski”. W jąku zmiany się świat” Jonathan Miller oddaje wnikliwej analizie złozenia i tok argumentacji McLuhana. Książkę otwiera obszerny wstęp pióra K. T. Toepflitz.

Jonathan Miller „Spór z McLuhanem”, PIW, s. 141, cena 20 zł.

„MOUNTLIVE”

Kolejna część cyklu pt. „Kwartet aleksandryjski”, dwie pierwsze części: „Justyna” i „Baltazar” ukazały się w Polsce w latach 1971—1972. Obecnie wydana powieść to nie tyle dalszy ciąg tamtych dwóch książek, ile ich „powieść mistrzana” dotycząca innej warstwy tych samych wydarzeń. Dzieje młodego człowieka Mountlive’a, historia jego miłości i zagubienia w chaosie otaczającego go świata. Akcja powieści toczy się przeważnie w Aleksandrii i doprowadzona jest do okresu bezpośrednio poprzedzającego wybuch II wojny światowej.

L. Durrell „Mountlive”, Czytelnik, s. 390, cena 32 zł.

„CHINY I AFRYKA”

ChRL wykazuje duże zainteresowania krajami rozwijającymi się zwłaszcza krajami kontynentu afrykańskiego. Autor analizując politykę Chin wobec Afryki wykazuje, iż detalicznie obniża na arenie międzynarodowej ma wyraznie charakter nie tylko antyimperialistyczny i antykolonialistyczny, ale także antyokolonialny oraz że Chiny realizują politykę „mocarskową” pragnąc zdominować stanowisko w Trzecim Świecie. Na końcu książki zamieszczono kalendarzyk ważniejszych wydarzeń z zakresu stosunków politycznych Chin z poszczególnymi krajami afrykańskimi.

Tadeusz Pasierbiński „Chiny i Afryka”, MON, s. 187, cena 21 zł.

FILM WYMOWA OBRAZÓW

„NAJEMNIK” Alana Bridgesa uhonorowany został w 1973 roku w Cannes „Złotą Palmą”. Nagroda ta posiada swój walor dodatkowy, wyróżniono film, którego wartością główną jest jego uroda formalna. Zwrócono uwagę na dzieło, które przypomina, że film jest sztuką obrazu, sztuką opowiadania obrazami. Brzmi to banalnie, bo przecież mowa jest o istocie kina, lecz współczesny czas filmu pozwala dostrzec nowe funkcje i możliwości filmowego obrazu. Coraz uchwytniej odróżnia się to, co pozostaje sposobem filmowym wprowadzić, lecz niezwykle statycznym zapisem świata, znajdującą się przed kamerą od tego, co staje się sposobem jego ujawnienia: kreacji, tworzenia nowej artystycznej rzeczywistości. Znaczą w niej nie tylko zanotowane przez kamerę inscenizowane zdarzenia fabularne, z naczy wybór, ukształtowanie i opis świata. Wrażliwość widzenia kamery, jej ruch, rytm obrazów i ich plastyka zawsze

stanowią o istocie kina. Jednak umiejętność opowiadania obrazami, takiego ich kształtowania, by one w całej swej wielopłaszczyznowości były nosicielami idei i atmosfery dzieła, określa dziś szczególnie silnie to, co w kinie najpiękniejsze.

„Najemnik” Bridgesa jest filmem, który interpretowany li tylko w warstwie fabuły, okazałby się utworem wyjątkowo melodramatycznej formuły. Lata dwudzieste, Anglia. Młoda wdowa, pogrążona w rozpacz po utracie męża, nie potrafi znaleźć porozumienia ze światem. Z depresji i apatii wyrwa ją fascynacja człowiekiem spoza jej sfery. Jest nim zdemobilizowany żołnierz, szofer smutnej lady. Historia tej fascynacji i namiętności szofera Leadbettera nie będzie finałem jedynie fabuły. Lady spotka człowieka ze swojej sfery, partnera godnego. Będzie on lajdakiem, to oczywiste, ale wszystko wróci do normy, porządek świata nie zostanie zachwiany.

Jest „Najemnik” filmem o

„układach”, o barierach nie do przebycia, o uwikłaniu w konwenans, interesy własnej klasy. Stały to temat wielkiej sztuki i wielkich melodramatów. Nie jest to jednak film o złym świecie i złej moralności sfer arystokratycznych, dobro i zło jest rozłożone jednakowo po obu stronach. Człowiek zależny od określonych społecznych układów, lecz przede wszystkim człowiek psychicznie nimi zdeterminowany — to główny temat filmu Bridgesa, który kładąc akcent na psychologię postaci, potrafił uniknąć banału, którego nosicielem był sam układ konfliktu. W opozycji dwu światów, świata lady i szofera — psychologiczny rysunek tych postaci stanął w centrum uwagi. Jemu też służy cała harmonijna stylistyka filmu Alana Bridgesa i operatora Michaela Reeda, którego zdjęcia są nosicielami wiedzy o tych dwóch światach.

To fotografia Reeda charakteryzuje absolutną jedność ludzi i miejsc, którym są przypisani. Ona tworzy ową grę uczuć i nastrojów, buduje dysonans między tymi światami. Pozwala przekroczyć banal fabuły, przydać jej sensów gorzkich w społecznych konstatacjach i odkryć psychologiczną prawdę w ludziach, którzy noszą maski. Obrazy Bridgesa i Reeda odkrywają urodę angielskiego pejzażu,

oddają piękno pałaców i ogrodów lady Franklin, ukazują elegancję świata arystokratów i brzydotę świata Leadbettera, lecz wszystko to służy przede wszystkim tworzeniu klimatu moralnego i emocjonalnego — najistotniejszego w tym filmie. Kamera rejestruje reakcje bohaterów w mikro sytuacjach, grę gestów, spojrzeń, uśmiechów — za nimi kryje się świat mrocznych spraw i namiętności, uczuć zniewolonych konwencją, ale i przerażającym egoizmem. Wali się świat pozorów, gdyż obraz sięga głębiej, chwytając, co jest poza tym, co ujawnia sama zewnętrzna sytuacja. Intryga psychologicznej towarzyszy opisaniu świata, możliwe dzięki wspomnianej w początku rozważań, wrażliwej kamerze. Kino psychologiczne nie istnieje bez aktora — Sarah Miles jest też wielkim odkryciem tego filmu. Jej lady Franklin skupiła w sobie całą złożoność uczuć i reakcji, dla których konwenans i egoizm stanowią się jedyną, ostateczną gwarancją bezpieczeństwa. „Najemnik” pozostałby spóźnionym w czasie „Kochankiem lady Chatterley”, gdyby nie aktorstwo pani Sarah Miles i jej partnera, Roberta Shaw, gdyby nie nośność znaczeniowa obrazów Alana Bridgesa i Michaela Reeda.

EWA NURCZYŃSKA

OPERA MANOWCE STYLIZACJI

Sezon teatralny 1974/75 rozpoczął Teatr Wielki premierą „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego. Nowa inscenizacja jest dziełem reżysera Jana Skotnickiego i choreografa Jana Urygi. Jako artyści ambini odeszli ich świadomie od koncepcji schillerowskich, dominujących w powojennych przedstawieniach „Cudu mniemanego” w Łodzi i w Warszawie, poszukując rozwiązań nowych i oryginalnych. Oryginalność ta wyraziła się przede wszystkim w próbie większego nasycenia widowiska folklorem a zarazem w dążeniu do większego zróżnicowania folkloru krakowskiego i góralskiego, które — podane klasycyzacji — tracą do siebie w muzyce ludowej „in crudo”. Z tym argumentem można by się zgodzić, problem jednak nie jest łatwy.

Nikomus jednak nie przyszłoby do głowy zastępować np. tańców góralskich w „Halce” czy w „Harnasiach” ludową kapelą spod Nowego Targu czy jej kopią. A coś takiego uczyniono właśnie w „Krakowiakach i Góralach” w Teatrze Wielkim. „Górali” wyposażono we własną kapelę a liczne (góralskie) fragmenty przeznaczone dla chóru i orkiestry zastąpiono nową muzyką, opracowaną (z dużą znajomością góralskiego folkloru — co przyznaje) przez Franciszka Barfussa. „Krakowiakom” zaś pozostawiono przeżwanie Stefaniego i orkiestrę w klasycznym, mozartowskim składzie. W ten sposób została złamana zasada stylizacyjnej jednorodności utworu, a jest w takim rozwiązaniu także duża niekonsekwencja, bo przecież klasyczna stylizacja krakowskiego folkloru dokonana przez Stefaniego jest równie odległa od ludowego autentyku, jak zawarte w jego partyturze partie muzyki góralskiej. A przecież Stefani bynajmniej nie tworzył swej muzyki w oderwaniu od źródeł, podejmując dalekie wyprawę na wieś w celu poznania muzyki ludowej; jak to wykazał Kolberg niektóre z jego tematów, wykorzystanych w partiach góralskich opery, pochodzą aż spod Babiej Góry. Nie był więc tak nieważliwy na różnice pomiędzy folklorem poszczególnych regio-

nów, jakby to się mogło wydawać na pierwszy rzut oka (czy raczej ucha), idąc w tym kierunku jako muzyk daleki, niż to uczynił Bogusławski w warstwie słownej. Sądzę więc, że należało „wybaczyć” Stefanemu osiemnastowieczne deformacje artystyczne i pozostać przy stylizacyjnej wiernym opracowaniu Władysława Raczkowskiego, który przygotował wydaną przez PWM powszechnie używaną wersję opery.

Wracając do samej premiery, odnotować trzeba też szereg pozytywnych. W bardzo dobrej i na ogół wyrównanej obsadzie solistów wyróżniłbym w pierwszym rzędzie Teresę May-Czyżowską, która w roli młynarki Doroty ujawniła niemały talent komediowy, potrafiła też wzruszyć widownię pięknym śpiewem. Sprawca „cudu mniemanego” Bardos, główny nosiciel ideowych treści utworu, znalazł świetnego odtwórcę w Romualdzie Szycharcim. Bardzo dobrą parę młodych wileńskich amantów tworzyli: Maria Szczuoka-Kudonowska (Basia) i Tadeusz Kowacki (Stach). Ze Stachem dzielnie współdziałał Janek — dobra rola Tadeusza Gawrońskiego. Szerokie pole dla swych umiejętności w charakterystycznej roli Miecho-dymba znalazł Antoni Majak. Stanisław Miechoński stworzył postać młynarza Bartłomieja pełną nowości i siły, co jednak nieumiejętnie odnawia charakterystyce starego meza płochliwej młynarki, pozabawiając jej postępowanie istotnego motywu. Wiejska staruszka z podobnościami reprezentowała Michał Marchut (Wawrzyniec). Lista solistów obejmuje jeszcze wiele nazwisk arty-

stów, z których każdy przyczynił się w jakimś stopniu do stworzenia właściwego klimatu widowiska. Jego bohaterem głównym jest jednak lud, nie więc dziwne, że scenom zbiorowym poświęcili realizatorzy sporo uwagi. One też, obok niektórych epizodów solowych, należą do lepszych w przedstawieniu, chociaż niedługo brak im spontaniczności działania. Dobrze śpiewające chóry (przygotowanie: Zbigniew Pawelec) przeplatają się z efektownymi choć nieskomplikowanymi tańcami, zabawami i korowodami ułożonymi przez Jana Urygę który potrafił też rozruszać chór i solistów. Wszakże najpiękniejszą jest scena statyczna, w której chór w pięknie brzmiącym piano śpiewa pieśń „Żyjmy w zgodzie”.

Muzyka pod batutą Tadeusza Kozłowskiego płynie wartko, starannie gra orkiestra, dość dyskretnie towarzysząc śpiewakom, ciesząc oko kolorowe kostiumy Mariana Stańcza, ożywiająca szarą dekorację, nieco tylko nużą dźwięczny, zwłaszcza w pierwszej części, w której połączono dwa akty (dlaczego?), i w zbyt rozbudowanym akcie czwartym. A przecież przedstawienie przygotowane z myślą o młodzieżowej publiczności, która nie greszy cierpliwością i wbrew temu, co się powszechnie sądzi, jest bardziej wymagająca od dorosłego widza. Toteż przysłowiowe „nożyce” bardzo by się przydały.

ZYGMUNT GZELLA

MUZEUM W POWIATOWYM MIEŚCIE

„Jak tylko przekroczy się próg waszego muzeum, to się człowiek przenosi w obręb innego świata, dawnego i budzą się uczucia chęci dobrego poznania tamtych dziejów. Powaga starych murów, cisza, jaka panuje we wnętrzu budynku, tak dobrze usposabia do zwiędzania. Szkoda że tak mało u was sal do zwiędzania, po których można u was godzinami chodzić.”

Te słowa wpisał do Księgi Pamiątkowej Muzeum w Sieradzu górnik z Górnego Śląska. Wielką to satysfakcją dla Dyrekcji i pracowników tej placówki, wielka i zasłużona.

Muzeum w Sieradzu powstało w r. 1937 z inicjatywy członków Towarzystwa Krajoznawczego, miłośników Ziemi Sieradzkiej i kolekcjonerów zabytków. Po-

czątkowo składnica muzealna mieściła się w piwnicach budynku gimnazjalnego. W 1947 r. na siedzibę Muzeum przeznaczono budynek przy ul. Dominikańskiej 2 — najstarszą w Sieradzu kamieniczkę mieszczańską tzw. „pojaگیellońską”. Prace konserwatorskie zakończono w 1960 r. i 21 maja 1961 r. Muzeum w Sieradzu otworzyło wystawę stałą i rozpoczęło działalność z prawdziwego zdarzenia.

Dziś Muzeum w Sieradzu należy do największych muzeów w Polsce. Prowadzi działalność naukowo-badawczą i oświatową w czterech dziedzinach: archeologicznej, historycznej, etnograficznej i dziale sztuki. I gdyby ktoś biorąc pod uwagę rangę naukową zbiorów, działalność naukową i oświatową w pos-

zczególnych dziedzinach, próbował preferować któryś z nich natrafiliby na poważne trudności. Wszystkie posiadają bardzo ciekawe zbiory, wszystkie wspomniane dziedzinie są upowszechniane z powodzeniem.

Dział archeologiczny posiada największą ilość eksponatów. Zbiory sięgają końca starszego okresu epoki kamienia i prezentują ciągłość osadnictwa na terenie powiatu sieradzkiego do późnego średniowiecza włącznie.

Jesienią roku 1964 rolnik z Kolonii Niechmirów kopiąc torf na legu nadwarciańskim natrafił na głębokości ok. 1,5 m na przedmioty z brązu: miecz, sierp, ozdobne kółko i dwa tzw. „młoty węgierskie”. Znalezione to o unikatowym charakterze (brak odpowiedników z terenów Polski, najbliższe analogie z południowej Słowacji i Węgier) datowane jest na ok. 1200 lat p.n.e. tzn. pod koniec I okresu epoki brązu. Niestety tylko częściowo udało się odzyskać zabytki w stanie nie naruszonym, znajdują się dziś na wystawie archeologicznej.

W 1968 r. podczas prac na wzgórzu zamkowego w Sieradzu natrafiono na relikty XIII-wie-

cznej architektury. Odkrycie to odbiło się szerokim echem w całej Polsce.

Dział historyczny muzeum sieradzkiego prowadzi badania nad historią Sieradza i województwa, a po roku 1793 powiatu sieradzkiego. Zgromadzone wiele archiwaliów, numizmatów, zabytków cechowych, militarnych, przedmiotów kultury materialnej pamiątek z II wojny światowej, okresu kształtowania się władzy ludowej.

Prawie jedną trzecią zabytków z działu sztuki stanowią dzieła malarstwa polskiego. Są wśród nich portrety sarmackie pędzla A. Misowskiego, F. Ciesielskiego, malarzy z kręgu J. Faworskiego, portrety XIX-wieczne. Reprezentowane są ponadto rzeźba, rzemiosło artystyczne, grafika, ceramika artystyczna.

Pięknymi rezultatami może poszczycić się dział etnografii. Muzeum organizuje liczne konkursy i wystawy sztuki ludowej: sieradzka sztuka obrzędowa i zabawkarstwo ludowe, sieradzkie kowalstwo ludowe, sztuka powiatu łaskiego itp. Ponad 3000 eksponatów działu etnograficznego reprezentuje wszystkie dziedziny sztuki ludo-

wej, bogatej pod tym względem Ziemi Sieradzkiej.

Ważną częścią działalności Muzeum jest praca oświatowa. Wystawy czasowe, wystawy objazdowe, odczyty, lekcje muzealne, współpraca z Biurem Wystaw Artystycznych, Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych i wieloma innymi instytucjami, stawiają Muzeum w Sieradzu w rzędzie najlepiej pracujących muzeów w skali ogólnopolskiej.

Niedługo Muzeum przejmie dawny budynek klasztoru. Czas już najwyższy, bowiem dotychczasowa siedziba „pęka w szwach”. Brak powierzchni magazynowej, pracownie specjalistyczne nie mogą się należycie rozwijać.

Na obszarze 20 ha nadwarciańskich łąk, w pobliżu wzgórza zamkowego powstanie Sieradzki Park Etnograficzny. Kilkadziesiąt obiektów architektury ludowej wyposażonych w oryginalne sprzęty domowe, zapozna zwiedzających z ginącą już niestety dawną kulturą materialną Ziemi Sieradzkiej. Nie będzie to jednak martwy ośrodek muzealny. W karczmie cze-

kać będą przyrządzone wg starych recept przyprawy sieradzkie, w starym lamusie grać będzie kapela ludowa w wiatraku zobaczyc można będzie pracę urzędów przemysłowych, a ci którym się tu spodoba, będą mogli przenieść. W skład Sieradzkiego Parku Etnograficznego wejdzie rezerwat archeologiczny, pokazujący rezultaty badań wykopaliskowych na wzgórzu zamkowym.

W Tubądzinie pod Sieradzem, w pałacu z przełomu XVIII i XIX w. znajdują swe lokum zbioru sztuki. Wypełnią one sale pałacu, bez konieczności, wykonywania specjalnego stelażu. Jeżeli dodamy, iż mieścić się tu będzie ośrodek muzealno-szkolny dla potrzeb muzeów województwa łódzkiego i sąsiednich województw, śmiało można powiedzieć, że pałac tętnić będzie życiem, że nie stanie się jedynie obiektem do zwiędzania.

JERZY AUGUSTYNIAK

MAGAZYN

BEZWZGLĘDNY SZAMPAN

Słynna gwiazda amerykańska Renata Grajfer miała przykre kłopoty z fizjologią, mianowicie zawsze odbijało jej się po szampanie. Zrozpaczona, ambitna gwiazda wpadła na prosty pomysł. Wybudowała w okolicach Kalifornii skromny pałacyk, do którego udawała się natychmiast po wypiciu każdego kieliszka szampana, by dokonać odbicia wśród grona najwierniejszej służby. Z czasem tak polubiła swój pałacyk, że po spełnieniu przykrych fizjologicznych czynności spędzała w nim jeszcze chwile, spoglądając na palmy przez okno.

APEL DO DZIATWY I DOROSŁYCH

Zwracamy się do wszystkich, którzy w czasie wakacji lub urlopu spotykali na swoich letnich szlakach ludzi filmu, by opisać nam To Zdarzenie. In-

teresuje nas wszystko: Jak Oni byli ubrani, co jedli, z kim żyli, o czym głośno rozmawiali, co tiliło się w ich oczach, gdy lot jaskółki śledzili, z Warszawy wnikliwych donosów, powstanie jak z cegiełek monumentalna, znormalizowana sylwetka Filmowca w Lecie. Równocześnie prosimy wszystkie Panie, którym tego lata zaproponowano główne role w filmie o nadsyłanie adresów celem szybkiego dokonania obliczeń, ile filmów fabularnych należy zaplanować, by żadna z Pań nie czuła się rozgoryczona.

TRZYMAMY ZA SŁOWO

Pewien szkocki marynarz pokochał do tego stopnia polski film góralski, że nie szczędząc trudu skleił we wnętrzu flaszki Perepeczke w roli Janosika. Niestety, duży ten aktor źle mieścił się w półlitrowce. Miły marynarz obiecuje że następnym razem nie pozostawi Janosikowi dwóch półlitrowek.

BRAWO DLA NÓZEK

Znany angielski filmowiec oświatowy John Catusky ogłosił konkurs wśród owadów na

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”
K.I.G.

najpiękniejszą nogę. Najliczniej zgłoszyły się karaluchy, zapracowane pszczoły nie dopisały, pierwsze miejsce zdobyła jednak zdecydowanie blondynka stonoga, zamieszkała na stałe

za szafą w garderobie pewnej aktorki filmowej.

NOWA, CIEKAWA FORMA

W krajach północnych coraz popularniejsza staje się nowa forma pomocy społecznej, zwana słusnie Pogotowiem Filmowym. Jego działalność polega na tym, że osobnik któremu nie chce się iść do kina wykreca odpowiedni numer. Natychmiast zjawia się u niego Przedstawiciel Pogotowia Filmowego i pomaga mu w zmienieniu zamiaru.

WESOŁA POCIECHA

Państwu Z. G. Kwaskowskim z Podorbity urodziło się dziecko płci męskiej. Chłopiec jest silny i zdrowy lecz na plecach posiada przycisk jakby od dzwonka elektrycznego. Kronika Filmowa nakreśliła już zabawne maleństwo. Nikt jeszcze jednak nie nacisnął przycisku na plecach, gdyż zupełnie nie wiadomo do czego on służy.

KŁOSY NA ZIMĘ

Pracownicy PGR im. Halki z opery „Halka” postanowili w czasie tegorocznych żniw pozostawić na polu kilkanaście nie żętych kłosów żyta, służące rozu, nując, iż w zimie mogą one bardzo przydać się do jakiegoś imu. Przykro byłoby, gdyby kłosa zmarnowały się niepotrzebnie.



POWIĘKSZENIA

KTO JEST WOJEWODĄ ŁÓDZKIM?

Wielka, centralna gazeta warszawska informujemy, że wojewodą łódzkim jest dr Roman Malinowski. Czynimy to w związku z notatką „Kto nie był w Kutnie” z dnia 8 września br. Okazuje się, że kto nie był w Kutnie, nie wie także, co się dzieje w Łodzi.

SZANUJĄCA SIĘ GAZETA

Jak zwykle elegancko poczyna sobie tygodnik „ITD”. Niedawno ukazał się tam felietonik: „Jan Gwóźdź — są grafomanii”. Pomijając osobliwą stylistykę tekstu chcemy zwrócić uwagę na dwie sprawy z dziedziny dobrego obyczaju.

Po pierwsze: rozszyfrowywanie pseudonimów nie jest przyjęte w polskiej prasie i nikt szanujący się tego na łamach gazety nie czyni. Niech sobie felietonista „ITD” poczyta prasę i zobaczy, że nawet tak często atakowanego „Hamiltona” nikt nie szarga po nazwisku, choć polowa Polski wie, jakie są personalia felietonisty.

Po drugie: jest żelazna zasada szanującej się gazety nie kpić na łamach z listów do redakcji. Jak felietonista dużej popracuje w prasie, zrozumie może, dlaczego. Można natomiast list do redakcji opublikować i wówczas tekst niech się sam broni lub oskarża.

Powyższe nie znaczy oczywiście, że „ITD” nie jest szanującą się gazetą. Mamy natomiast wątpliwości, czy szanuje swoich Czytelników.

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

PIERWSZE KOMPOZYCJE

Co kilka dni robili zebrania, na których uskarżali się, że jest za dużo solistów, zespół za duży, oni sami chcą zrobić karierę, a solisci im przeszkadzają. Za każdym razem to samo — kłopoty, skargi, kłótnie. Miałam tego wszystkiego dość. W tym akurat czasie otrzymałam pismo z Warszawy, z ministerstwa, przysługujące mi grupę „A”, a więc podwyższającą moją stawkę od koncertu do 500 zł. Zespół był oczywiście oburzony, miałabym najwyższą stawkę, której nie posiadał w zespole nikt. Kierownik oficjalnie nie wyraził zgody, miałam zostać w zespole na dotychczasowej stawce.

W Estradzie Szczecińskiej złożyłam wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym i uzyskałam zgodę dyrektora. Byłam wolna! Czas ten wykorzystywałam na występy w Berlinie, Lipsku, Budapeszcie, Moskwie i wielu innych miastach.

Kiedy wróciłam po odniesionym sukcesie z Berlina, zjawiałam się w Studio Rytm. Tutaj po raz pierwszy zaobserwowałam: — Czy to, co mówiłam w wywiadzie dla „Musicoramy” jest prawdą?

— Nie wiem, nie czytałam, a zresztą nie przynosiłam sobie, czy ostatnio udzielałam wywiadu „Musicoramie”.

Miałam zawsze tak wiele wywiadów drukowanych w prasie (często bez mojego udziału) że nie zwróciłam na to uwagi. Ale moi znajomi przyglądali mi się dziwnie. Autorzy i kompozytorzy zwlekali z nadesłaniem nowych piosenek. Pracownicy Estrad, do których zgłaszałam, że teraz pracuję indywidualnie i jestem wolna — byli przeczni, mili, obiecywali przysłać zaproszenia na imprezy, ale iakoś bez entuzjazmu. Nie wiedziałam, co się raptem stało, przecież jeszcze miesiąc, dwa, trzy temu przyjmowali mnie wszyscy zupełnie inaczej. Nie zmie-

niła się tylko publiczność — zawsze taka sama, gorąca, serdeczna.

Któregoś dnia dostałam w kopercie od animowego nadawcy wycinek z prasy zielonogórskiej, a w nim cytował „Musicoramy”. Oczy mi się otworzyły, ktoś napisał na mnie obrzydliwy, bezwstydy PASZKWIŁ, zawierający stek kłamstw: „Niedawno wygwizdano ją... „Rozstaje się ze sceną. Nie wiem, czy na zawsze. Może kiedyś powróci jeszcze”. „Niewiarygodny wydaje się ten czytany na jej twarzy smutek”.

Byłam zdumiona, nie wierzyłam własnym oczom, czytając to. Byłam może czasem smutna, ale przeważnie, gdy mam jakieś zmartwienie, a przede wszystkim, kiedy jestem sama.



Ale ostatnio nie miałam powodu być smutną, wprost przeciwnie. Zaczynałam samodzielnie pracę samymi sukcesami.

Najmniejszego zamiaru nie miałam porzucić sceny, nigdy mi to nie przyszło na myśl. Śpiewałam zawodowo 8 lat, różna bywała publiczność — młodszą i starszą, prostą i wykształconą, z głuchej wsi i z wielkich stolic, przejechałam wszystkie miasta i miasteczka w Polsce, przejechałam wiele miast krajów Europy oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady — i NIGDY nie zdarzyło mi się, żeby gdziekolwiek mnie wygwizdano. Tak wierutne kłamstwa mógł wymyślić tylko człowiek bardzo podły, albo psychicznie chory. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, kto był autorem tego paszkwilu. Kiedy się dowiedziałam, byłam jeszcze bardziej zdumiona. Nie miał powodu, aby napisać takie bzdury, więc dlaczego? Jaki miał w tym cel?

Nie wiem do tej pory. zresztą dziś jest to nieaktualne. Zapomniałam, a pomogła mi w tym moja publiczność. Ale wtedy te kłamstwa powtórzyła prasa w całym kraju. „Spadająca gwiazda” — pisał „Dziennik Łódzki” w mieście — w którym mieszkalam od czterech lat, „Koniec kariery” — krzyczały litery w „Życiu Bytomskim”, w moim rodzinnym mieście.

Ludzie są podli! Jak zawsze kochałam ludzi, tak wtedy zniechęcałam ich.

Radio, Telewizja, Estrada, prasa — wszyscy pracownicy tych instytucji mieli martwe, puste oczy manekinów, umieli się tylko fałszywie uśmiechać, zapoewniać o swojej przyjaźni, ale żaden z nich nie odważył się pomóc mi, stanąć w mojej obronie.

Znaleźli się nawet tacy, którzy dawali mi „doskonałe, życiowe” rady, a więc przede wszystkim, żebym zmieniła styl — muzyka sentymentalna, łzawa, albo awangardowa „muzyka podziemia”. A znalazł się nawet ktoś, kto obiecał wziąć mnie do swojego programu telewizyjnego,

ale powinnam być zupełnie inna, a więc założyć długą suknię, rozpuścić włosy lub spiąć w poważny kok i z powagą i statecznością odpisywać jakąś tragiczną piosenkę — chyba o zawiedzionej miłości. Miałam przestać już być dziewczyną, a stać się kobietą! Na siłę! Nie wypadało mi powiedzieć wprost, co o tym myśle, ale potem aż poplakałam się ze śmiechu, kiedy w wyobraźni zobaczyłam siebie w tej roli. Więc chciałam odebrać to, co było we mnie inne, co było tylko moje, co odróżniało mnie od innych piosenkarek. To równało się zniszczeniu mnie.

A więc stanęłam przed trudnym zadaniem, musiałam przekonać Radio, Telewizję, Estradę, moich słuchaczy — że to, co zostało napisane, jest kłamstwem. Musiałam walczyć sama przeciw wszystkim. To bardzo trudne, wiem o tym najlepiej, bo przeszłam to.

Nie miałam żadnego poparcia, żadnej protekcji. Nie miałam męża, siostry ani nikogo, z kim byłabym związana, wśród pracowników Radia, Telewizji, Estrady i Prasy. Teraz dopiero przekonałam się, ile dają takie koligacje rodzinne i inne powiązania. Okazało się, że do tej pory byłam ślepa i naiwna jak dziecko. Ponieważ moja kariera była samodzielną, nie musiałam zabiegać o nią, więc wydawało mi się, że każdy robi tak samo. Ale! Nareszcie miałam okazję poznać prawdziwe, brudne artystyczne życie. Nie potrafiłam w nie wejść, nie potrafiłam się przystosować do ogółu, dlatego miałam i mam nadal wiele trudności — przede wszystkim z nagraniami w radio, z programami telewizyjnymi, z płytą.

Po uciążliwych poszukiwaniach odnalazłam wreszcie kilku uczciwych ludzi. Udało mi się więc nagrać dla radia kilka wywiadów, w których sprstawałam kłamstwa zawarte w paszkwilu (ale to była kropla w morzu), udało mi się przekonać niektóre Estrady, ale prasa przez długi czas pozostawała nieczuła.

Nie chciałam więcej prosić znanych autorów i kompozytorów o piosenki — zaczęłam komponować sama. Próbow-

łam już kiedyś, ale zniechęciła mnie. Jeszcze kiedy śpiewałam z „Czerwono Czarnymi”, znużona wyczekiwaniem na nową piosenkę, sama skomponowałam muzykę do jednego z tekstów. Zaspiewałam ją zespo-

lowi. Dumali, dumali, głowami wreszcie jeden orzekł: — „jeśli to nie jest plagiat, to będzie duży szlagier”. Plagiat — ucieplił się tego słowa, ale nie mogli znaleźć oryginału.



Teraz nikt mi nie wybrzydzał, mogłam więc spokojnie pracować — tym bardziej że koncertów miałam mało, a zatem czasu dużo. Zamieszkałam w Łodzi na dobre. Aby nie tracić czasu, pobierałam lekcje gry na fortepianie. Miałam cudowny tekst, do którego często wracałam, podobał mi się. Zaczęłam układać do niego melodię. Wkrótce była gotowa. Była to moja pierwsza kompozycja, a jej tytuł „Wierny wiatr”. Tekst ten dostałam kiedyś od znajomej w Szczecinie — Oli Marciniak.

Premierą moich własnych kompozycji był „Podwieczorek przy mikrofonie”, w maju 1970 roku, przed publicznością warszawską. Byłam bardzo stremowana i jednocześnie ciekawa — jak przyjmie moje piosenki widownia? Ku mojej olbrzymiej radości miałam naprawdę wspaniałą brawę.

Rok 1971 okazał się o wiele przychylniejszy. Udało mi się załatwić nagrania w radio w Warszawie, nagralam więc „Wierny wiatr” i naszą wspólną, kolejną piosenkę „Szukaj mnie, no szukaj mnie”.

Koncertowałam w województwach: łódzkim, białostockim, lubelskim. Pamiętam jeden z koncertów w województwie łódzkim, to było w Aleksandrowie. W czasie jakiegoś bardzo ważnej akademii, po części oficjalnej, na której wręczano zasłużonym pracownikom orderu, miał być prezentowany program Estrady Łódzkiej. Tuż przed estradą stał długi stół przydług, pokryty narzutą, a na nim wazon z kwiatami. Przy stole siedzieli członkowie prezydium. Kiedy wbiegłam na scenę i już trochę rozbałam publiczność, w pewnej chwili zeskokczyłam z estrady wprost na ten stół. Zobaczyłam przerażone spojrzenie kierownika programu i oburzone twarze poważnych członków prezydium. Ale to trwało tylko moment, już po chwili bawili się razem ze mną, klaskali i śpiewali, a po skończeniu mojego występu domagali się bisów.

Oprac:

A. KRYSZKIEWICZ